№ 10. Warszawa, dnia 24 Lutego (8 Marca) 1879 roku.



Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

FLAMINIA.

POWIEŚĆ

przez

Jana Zacharyasiewicza.

(Dalszy ciąg).

Nie stało panu Salezemu cierpliwości. Odkrząknął trzy razy po razu i ozwał się:

— Poczciwa, zacna staruszka!

— Zacna staruszka, to prawda! odpowiedziała pani Apolonia.

Nastąpiła pauza milczenia. Eliza nie zmieniła postawy.

— Jest to cecha bardzo zacnego serca, mówił dalej pan Salezy, jeżeli taką opiekę okazuje się biednéj sierocie!

— A nawet jest rzadkością w dzisiejszych czasach! dorzuciła nie odrywając oczu od robótki pani Apolonia.

— Biedna Flaminia powinna Bogu dziękować, że w swojem sieroctwie znalazła taką krewnę!

— Zasłużyła sobie na to, kocha ją i pielęgnuje jak rodzoną matkę. Takie przywiązanie także coś warte!

— Niezawodnie, okazuje to zawsze bardzo piękny i dobry grunt u młodéj dziewczyny!

— Za to Bóg powinien ją wynagrodzić dobrym mężem!

— To się jej należy... przyniesie ona mu szczęście! o jakie dzisiaj tak trudno w małżeństwie!

— Prawda, dzisiejsze małżeństwa zawierają się jak interesa kupieckie!

— Za groszem wszyscy gonią!...

— Chociaż z drugiéj strony... przy wyjątkowem położeniu społeczeństwa... przy większéj coraz biedzie na wsi osobliwie... nie ma się co dziwić!

— To prawda dzisiaj i na to trzeba się oglądać!

— Zawsze Flaminia może być dobrą partyą.

— Jeżeli staruszka jéj wszystko zapisze...

— Okoliczności tak się składają, że to nastąpi!

— Tak przynajmniéj być powinno!

— Elizo!... O czem tak myślisz?

Eliza spojrzała na rodziców jakby się dopiero ocknęła. Przetarła ręką oczy.

— Czy ojciec pytał się o co? zapytała.

— Pytałem o czem tak myślałaś? odparł z uśmiechem pan Salezy.

— Myślałam właśnie o tem, jakby to dobrze było, gdyby tu z nami był, Maryan.

— Czy masz jakie plany?

Nieznaczny rumieniec przemknął po twarzy Elizy. Przed oczyma jak blady cień przesunął się... nieznajomy. Wkrótce jednak zniknął zjawisko a z niem razem ulotnił się rumieniec. Ojciec widocznie nie mógł się pytać o to.

— Czy mam plany jakie, odpowiedziała spokojnie Eliza, planów nie mam żadnych, ale... coś mi ot tak do głowy przyszło i dalej rozsnuwać się zaczęło!

— Myśmy właśnie mówili o zacnéj staruszce...

— A ja myślałam, o Flaminii!

— Cóżeś myślała?

— Jest ona taka dobra i zacna... miła i przyjemna, że mimowoli trzeba o niéj czasem pomyślić!

— Jesteście w przyjaźni z sobą!

— Kocham ją jak rodzoną siostrę.

— Czy wiesz co o jéj rodzicach?

— Nie wiem, o tem nigdy ze mną nie mówi! Z różnych tylko napomknień mogę wnosić, że mieli majątek ziemski!

— I zapewnie zubożeli potem. Nic dziwnego. Przy położeniu naszem postępują zubożenia coraz więcéj.

Pan Salezy westchnął ciężko, a w pokoju odpowiedziały temu westchnieniu dwa echa. Nastąpiło milczenie.

— Uderza mnie tylko jéj... imię! ozwała się po chwili pani Apolonia, nigdy u nas o takiem imieniu nie słyszałam.

— To prawda, dodał pan Salezy, jest niezwykłe i zarywa na jakieś cudzoziemskie pochodzenie.

— To prawda, wmieszała się do rozmowy Eliza, nieraz o tem także myślałam, a raz nawet chciałam rozmowę na to skierować, gdy Flaminia nagle powstała, jakby się jéj słabo zrobiło, a gdy do drugiego pokoju odeszła, powiedziała do mnie pani Palczewska, abym o tem z Flaminią nigdy nie mówiła, bo to sprawia jéj przypomnienia, które wywierają na nią wpływ szczególny. Sama pani Palczewska nic mi także nie powiedziała, jakie mogłyby być te przypomnienia, a mnie nie wypadało o to pytać. Zresztą... nie wydało mi się to znowu tak bardzo koniecznem!

Przy tych słowach spojrzała Eliza z uwagą na ojca. Pan Salezy patrzał właśnie w ziemię jakby był zamyślony.

— Powiadasz, że to nie bardzo koniecznem, ozwał się po niejakim czasie pan Salezy, to prawda, dzisiaj wiele rzeczy nie jest koniecznie potrzebnych... ale w familijnem kółku można o nich mówić! Zawsze byłbym ciekawy...

— Z tem się wcale nie zgadzam. Chciałabym o ludziach wszystko wiedzieć, zanim się z nimi nie zaprzyjaźnię. Ale jeżeli to już nastąpi, to wtedy nie lubiłabym odgrzebywać coś z ich przeszłości, coby mnie potem mogło oddalić od nich! Gdyby naprzykład narzeczona chciała poznać całą przeszłość swego narzeczonego...

— To co innego moje dziecię, w życiu ludzkiem jest wiele zwykłych, drobnych nawet rzeczy z których nie dobrze jest spowiadać się... a jeszcze gorzéj

słuchać takiéj spowiedzi tym, którzy dla siebie nie chcą być obojętnymi.

— Otóż w takiem samém położeniu jestem, odpowiedziała żywo Eliza, kocham Flaminią i przykrą byłaby mi najmniejsza czarna chmurka na horyzoncie jéj życia!

— Może to tylko o jéj rodziców chodzi! W takim razie cóż winne biedne dziecko?... szepnęła pani Apolonia.

— I o tem nigdym nawet nie myślała. Dosyć jest, że znam Flaminią i widzę w niéj osobę tak zacną miłą i dobrą jak anioł! Gdybym była mężczyzną, mogłabym w niéj szalenie się kochać. Jéj oczy gdy patrzy jéj głos gdy przemówi sprawiają dziwne wrażenie! Gdy po raz pierwszy ją usłyszałam, nie mogłam tego głosu długo zapomnieć. Tylko szlachetna w gruncie kobieta może tak mówić!...

— Szczerze się z tego cieszę, że Palczewska tak ją polubiła. Zasłużyła sobie na to.

— Inaczéj być nie mogło, Palczewska tylko w niéj żyje. Gdyby Flaminii nie było staruszka przestałaby żyć jak roślina, któréj słonecznych promieni zabraknie!

Po téj dłuższéj rozmowie nastąpiło dłuższe milczenie. Wszyscy byli zadowoleni z téj rozmowy, jak to na ich twarzy czytać można. Brakowało tylko pewnéj konkluzyi. Odważył się na nią pan Salezy.

— Powiedziałaś przed chwilą Elizo, ozwał się z pewną powagą, że chciałabyś, aby tu był Maryan. Czy miałaś w tem jaką myśl uboczną?

Eliza uśmiechnęła się.

— Ot przyszło mi do głowy, odpowiedziała, że Maryan mógłby... z Flaminią się ożenić!

Widoczne zadowolenie okazało się na twarzy pana Salezego.

— Możeby to nie źle było! z uśmiechem odpowiedział pan Salezy.

— Zacna, sympatyczna dziewica! dorzuciła pani Apolonia.

Wszyscy z ukosa spojrzeli po sobie, jakby do tych słów jeszcze coś brakowało. Nikt jednak nie chciał ich uzupełnić. Nastąpiło głębokie, uporczywe milczenie i na tem zakończyła się dzisiaj rozmowa, która dla rodziny nie była bez pewnego donioślejszego znaczenia.

IX.

Od tego dnia jeszcze ściślejsze między dwoma domami nastąpiły stosunki. Pan Salezy starał się zabawiać jak mógł najlepiéj samą staruszkę, dla któréj w téj chwili czuł bardzo głęboki szacunek. Pani Apolonia postawiła się z nią prawie na równi towarzyskiéj zaszczyciwszy nadzwyczajną nawet poufałością swoją. Eliza jak zawsze nie mogła chwili jednéj być bez Flaminii i po raz setny z wszelką formalnością zawierała z nią przymierze wieczystéj przyjaźni. Okazywała jéj codziennie swoje pamiątki, rozkładała przed nią albumy, w których zawsze na pierwszem miejscu znajdowała się fotografia Maryana. Flaminia patrzała często na tę fotografią i słuchała przy tem różnych opowiadań przyjaciółki, która zdawała się kochać brata uczuciem prawie egzaltowanem.

— Czy ty nie miałaś brata? zapytała razu jednego gdy Flaminia dłużéj na fotografią Maryana patrzała.

— Nie miałam! odpowiedziała smutno Flaminia.

— To cię żałuję! Nas jest tylko dwoje, ja i Maryan. Nie pojmiesz nawet tego uczucia, które nas razem wiąże. Jest to więcéj jak zwykła przyjaźń, jest to coś, co nam daje już wyobrażenie... o miłości!

Flaminia złożyła fotografią i westchnęła.

— Czyś ty.. nigdy nie kochała? zapytała po chwili Eliza.

— Nigdy! szybko odpowiedziała Flaminia.

Teraz westchnęła Eliza.

— Za kim westchnęłaś? z uśmiechem zapytała Flaminia.

— Westchnęłam... z litości nad tobą, żeś jeszcze nigdy nie kochała!

— Nademną?... Myślałam, że to westchnienie poświęciłaś wspomnieniom... twego Alfreda!

— W téj chwili... o tobie tylko myślałam!

— Czy o Alfredzie nigdy nie myślisz?

— Dla czego o to pytasz?

— Bo mnie zdaje się, że gdybym kogo raz pokochała, to jużbym o kim innym nigdy myślić nie mogła!

W téj chwili pod balkonem, nad którym obie siedziały pojawiła się gondola... z nieznajomym. Eliza ujrzała go i uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Czasami serce... odradza się! odpowiedziała z rozkosznem wejrzeniem na gondolę.

Flaminia nie spostrzegła gondoli, która powoli płynęła pod balkon. Nieznajomy mężczyzna stał w gondoli i uporczywie wpatrywał się w balkon...

— Jesteś szczęśliwa, odpowiedziała Flaminia przewracając kartki albumu, a mnie się zdaje że moje serce po śmierci tych, których może najmocniéj się kocha... po śmierci rodziców moich, z każdym dniem zamiast odradzać się, zamiera!

Flaminia wymówiła drżącym głosem ostatnie słowa.

— Czy dawno straciłaś rodziców? zapytała Eliza ostrożnie z pewnym ukrytym wyrazem ciekawości na twarzy.

Flaminia zrobiła głową ruch spazmatyczny, jakby ją w piersi nagle ukłóło.

— Moich rodziców, odpowiedziała z widocznem wysileniem, straciłam wtedy, gdy jeszcze znać nie mogłam!

Urwała nagle i przyłożyła chustkę do ust, jakby od płaczu wstrzymać się chciała. Po chwili wstała, zbliżyła się do stołu, na którym stała flaszka z wodą i napiła się wody.

Eliza patrzała na nią. Zdawało się jéj, że Flaminia gdy do niéj wróciła była znacznie bledszą. Oczy tylko miała więcéj ożywione, które teraz z szafiru przechodziły w najpiękniejszą barwę fijołkową?

Nie mogła się Eliza powstrzymać, aby Flaminii w téj chwili nie uściskać i ucałować. Była tak piękną, tak dziwnie idealny miała wyraz na twarzy, że Eliza z prawdziwem zachwyceniem wpatrywała się w nią czas niejaki. Wreszcie uścisnęła ją jeszcze raz i rzekła:

— Zazdroszczę temu, kto ciebie pokocha! Chciałabym aby to był mój... dobry znajomy... mój najbliższy... przyjaciel lub... krewny! Dzieliłabym się w takim razie jego szczęściem!

— Szczęściem? odpowiedziała smutno Flaminia, czyż mogłabym kogo uszczęśliwić?

— Ty wątpisz o tem? szybko podjęła Eliza, powiadam ci, że kto raz sercem zbliży się do ciebie, ten już nie odejdzie! Pamiętaj o tem i... bądź ostrożną. Możesz tylko uszczęśliwić albo, zabić!

Eliza wymawiała te słowa z żartobliwym uśmiechem całując serdecznie Flaminią.

— W takim razie, odpowiedziała z uśmiechem Flaminia wywijając się z uścisków przyjaciółki, w takim razie, wolałabym już nawet mimo mojéj chęci uszczęśliwić go, niżeli, zabijać!

— Pamiętaj, że kiedyś mogę ci te słowa przypomnieć! śmiejąc się groziła jéj różowym paluszkiem Eliza, pamiętaj abyś wtedy inaczéj nie powiedziała!

— Daję ci rękę na to! z wesołym śmiechem rzekła Flaminia podając jéj drobną rączkę, niech tylko jeżeli nie mnie saméj, to przez ciebie o tem mi powie!

— Przyjmuję pośrednictwo i biorę cię za słowo! zawołała z ukrytą radością Eliza.

W téj chwili słychać było w saloniku pewien ruch, z którego można było wnosić, że staruszka zabiera się do odejścia. Flaminia pospieszyła. W saméj rzeczy, w salonie wstała już była pani Palczewska z kanapy, a pan Salezy jak mógł podtrzymywał staruszkę, chociaż widocznie sił mu do tego brakowało. Nadszedł służący, mimo to odprowadził pan Salezy własnoręcznie staruszkę aż do schodów, pożegnał się z Flaminią a sam za pomocą pani Apolonii powrócił spiesznie, aby się do kąpieli zebrać. Nadeszła bowiem już była wyznaczona dla niego godzina.

Eliza zaś wróciła na balkon. W innych dniach zazwyczaj w takiéj godzinie, gdy ojciec szedł do kąpieli, towarzyszyła Flaminii. Dzisiaj postanowiła w domu zostać. Jakieś niewyraźne przeczucie kazało jéj tak uczynić. Widziała przed chwilą swego nieznajomego bohatera na gondoli przed domem: widziała z jakiem niezwyczajnem zachwyceniem patrzał na balkon, jak widocznie powoli kazał gondolierom płynąć, a potem z po za zakrętu kanału jeszcze raz cofnął się w gondoli aby ostatnie na balkon rzucić spojrzenie! Zdawało się Elizie, że w zachowaniu się nieznajomego widziała dzisiaj większy niżeli zwykle niepokój. Spojrzenia jego były namiętniejsze, ruchy pełne niecierpliwości. Kilka razy wstawał z ławki gondoli jakby do balkonu chciał wprost dostać się przez wodę...

Wszystko to stanęło teraz żywo przed oczyma Elizy. Być może, że żywa jéj wyobraźnia dodała jeszcze coś do tego, co rzeczywiście widziały jéj oczy...

Sprawiło to jéj niezwykłe wzruszenie. Uczuła niepokój w sercu jakby czegoś oczekiwała. Wyszła na balkon i usiadła. Była sama, rodzice zeszli na dół do łazienek. Oparła się o marmurową balustradę i niespokojnem okiem powiodła po szmaragdowem zwierciadle morskiéj wody...

Między wodą a nią przesuwały się piękne urocze obrazy. Obrazy te były podwójne. W jednych była sama bohaterką w drugich pierwsze miejsce zajmował Maryan. Obok siebie widziała nieznajomego, obok brata, Flaminią. Podwójnem napawała się szczęściem. Gdyby Maryan został mężem Flaminii a ona żoną nieznajomego, który w wyobraźni jéj zajmował świetne w towarzystwie stanowisko... jakby to dobrze było i świetnie!... Była pewną prawie, że Maryan nie mógłby lepszéj żony dla siebie znaleźć... wszystko skupiało się tutaj dla jego szczęścia... i szczęścia wszystkich! Flaminia przy bliższem poznaniu musiałaby się i najwybredniejszemu podobać, mogłaby każdego olśnić i oczarować, a to co po za nią w pewnéj niedalekiéj perspektywie było, miało tyle ponęty rzeczywistéj! Flaminia mogła być partyą bardzo świetną!...

Niemniéj też obiecywał tajemniczy nieznajomy. Widać to było po nim. Był może trochę za romantyczny jak na człowieka owéj kosmopolitycznéj sfery, do któréj pewne tytuły przystęp dają, ale z drugiéj strony trzeba było z tego wiele odtrącić na karb zwyczajów i obyczajów narodowych!...

Takmarzyła Eliza oparta na marmurowéj balustradzie balkonu, a w takiem miejscu jak Wenecya, w owéj świątyni marzeń i miłości, wolno było tak marzyć kobiecie pięknéj i młodéj... Już sam ten niezwykły, czarodziejski widok zaprasza do takich marzeń, ta gładka szyba wód morskich, z których w dalszéj perspektywie wyrastają kościoły i pałace, te marmury i posągi i ten ustawiczny ruch śpiewa-

jących gondolierów... wszystko to wprawia zmysły w jakiś niezwykły, niepowszedni ustrój!...

W takim nastroju była w téj chwili Eliza, gdy nagle po marmurowych schodach usłyszała stąpanie... Echo tych kroków odbiło się o jéj serce... przychyliła się z balkonu ku salonikowi... kroki zbliżały się wyraźnie.

— Czyżby to mogło być? zapytała siebie, czyżby zbliżał się koniec téj cichéj, nieméj miłości... czyżby miał dzisiaj stanąć przede mną... z wyznaniem?

Uczuła rumieniec na twarzy.

— Cóż ma w takim razie powiedzieć? pytała zaraz sama siebie, jakże się zachować? Przecież trzebaby wprzódy coś bliżéj o nim się dowiedzieć... Któż on jest? Jakże z nim mówić?...

Przycisnęła ręką bijące serce, bo serce w téj chwili mówiło jéj coś bardzo rozkosznego!...

Nagle wzdrygnęła się, w téj chwili otworzyły się drzwi. Do pokoju weszła, Kameryera.

Młoda Wenecyanka miała na twarzy uśmiech jakiś zagadkowy a w ręku, kartę wizytową.

— Hrabia pyta się, rzekła do Elizy, czy może pani służyć.

Eliza zarumieniła się i wyrwała z ręki służącéj kartę.

Na karcie stało: *Conte Stella*!

Odetchnęła całą piersią.

— Prosić! odpowiedziała drżącym od wzruszenia głosem.

Służąca wyszła a za chwilę usłyszała na marmurowéj posadzce tuż w przedpokoju kroki gościa.

Rzuciła okiem szybko do zwierciadła. Miała dzisiaj nowy kostium na sobie, w którym było jéj do twarzy. Podziękowała w duchu modniarce za tak udatny strój, któremu w niemałéj części przypisywała dzisiejsze swoje powodzenie...

Otworzyły się drzwi a przed nią stanął dawny jéj nieznajomy a dzisiaj, hrabia *Stella!*

(*d. c. n.*)

DO PANNY WIEŃCZYSŁAWY B.

znakomitéj fortepianistki.

Brawo! brawo! Wieńczysławo!
Plećmy wieńce z róż,
Wiekiem dziecię,—w tonów świecie
Tyś królową już!

Ej! orlico, tyś źrenicą
W ten dosięgła świat,
Kędy rośnie—w wiecznéj wiośnie
Sztuki cudny kwiat.

Z pod twéj ręki, rzewne dźwięki
Tak czarują słuch!
Śnim o niebie—snać przez ciebie,
Gra Szopena duch.

Mistrz co z ludu—pełne cudu
Zdroje natchnień brał,
Biłby Tobie—w ręce obie,
Gdyby z grobu wstał.

Brawo, brawo! Wieńczysławo
Dzielnie w pracy trwaj,
Pokaż dziecię—w sztuki świecie
Czém jest polski kraj!

S. Ż T.

KONSTANTYNOPOL

(Wyjątki z dzieła pod tymże tytułem przez Edmonda de Amicis).

PRZEZ

Joannę Belejowską.

(Dokończenie).

Wielki ten nieregularny dziedziniec stanowił jakby ogromny salon pod gołém niebem, otoczony pięknemi gmachami i kopułami srebrzonemi i złoconemi, zasiany kępami pięknych drzew i przerżnięty dwiema alejami, wysadzonemi olbrzymiemi cyprysami. Dokoła ciągnęła się śliczna galerya, wspierająca się na delikatnéj kolumnadzie z białego marmuru, i nakryta wystającym dachem. Na lewo znajdowała się sala posiedzeń Dywanu a nad nią błyszcząca kopuła; nieco daléj sala w któréj miewały miejsca uroczyste przyjęcia. Przez ten dziedziniec przechodzili przyjmowani przez sułtana ambasadorowie.

Sala posiedzeń Dywanu przechowała się doskonale, jest prawie niezmienioną od czasu gdy wielka rada Państwa w niéj zasiadała. Jest to wielka sala sklepiona, oświetlona z góry małemi maurytańskiemi oknami, wyłożona marmurem zdobnym w złote arabeski; żadnych tu nie było sprzętów prócz sofy (dywanu) na któréj zasiadali członkowie Rady. Po nad siedzeniem W. Wezyra, jest małe okienko zamknięte złoconą drewnianą kratą, po za którém siadał Soliman Wielki a po nim inni Padyszahowie, aby niewidzialni słuchać lub kazać wierzyć że słuchają obrad. Tajemne przejście prowadziło z apartamentów cesarskich do tego ukrytego gabinetu. W téj sali, pięć razy na tydzień zasiadała wielka rada ministrów pod prezydencyą wielkiego wezyra. Wielki wezyr zasiadał wprost drzwi wchodowych; obok niego tak zwany wezyr kopuły; daléj kapudan pasza, wielki admirał; dwóch wielkich sędziów Anatolii i Rumelii, oraz przedstawiciele magistratur prowincyonalnych Azyi i Europy. Z jednéj strony siedzieli zawiadujący skarbami państwa, z drugiéj *niszyandżi* przykładający na postanowieniach pieczęć sułtana. Daléj po obu stronach siedzieli szeregiem ulemowie i szambelani a w rogach sali *czauszowie* wręczyciele rozkazów, wykonawcy wyroków, wprawni w pojmowanie każdego skinienia lub spojrzenia. A twarze wszystkich tych ludzi były zimne i niewzruszone, siedzieli z zakrzyżowanemi, ukrytemi w szerokich rękawach rękami, Niepewne, od sklepienia padające światło, rzucało złotawy cień na białe turbany, poważne oblicza, długie brody, drogocenne futra i połyskujące rękojeście puginałów. Z pierwszego wejrzenia ta Rada Państwa wydawała się jakby martwa grupa posągów ustrojonych i pomalowanych. Maty rozesłane na posadzce tłumiły odgłos kroków osób wchodzących i wychodzących; powietrze nasycone było wonią zapachnionych futer; na marmurowych ścianach odbijała się zieloność drzew zdobiących dziedziniec; śpiew ptaków obijał się o złocone sklepienie. Piękném i wdzięczném było całe otoczenie strasznego tego trybunału. Głosy odzywały się z kolei, ciche i monotonne jak szmer strumyka, i ani ten kto oskarżał ani broniący się i uniewinniający, który stał na środku sali, nie mógł widzieć z jakich ust wychodziły. Sto bystrych oczu wpatrywało się badawczo w jedną twarz; spojrzenia były wyuczone, słowa ważone, myśli odgadywane z najnieznaczniejszych ruchów twarzy. Wyroków śmierci wygłaszanych spokojnym głosem i słowami, po długiéj cichéj naradzie, słuchano w grobowém milczeniu... a przecież wybuchały one niespodzianie, jak piorun, a échem ich były owe straszne słowa wydobywające się z duszy zrozpaczonéj w stanowczych chwilach... Wtedy, na skinienie, miecze godziły w skazańca i krew obryzgiwała kobierzec i marmur. Agowie spahów i janczarów padali pod ciosami sztyletów, gubernatorowie i kajmakani konali zaduszeni. W parę minut potém, martwe zwłoki leżały w cieniu platanów, przykryte zieloném suknem, zamyto krew, kaci wrócili na swoje miejsca i Rada prowadziła najspokojniéj dalsze obrady. Ale i straszni ci sędziowie drżeli z kolei, gdy Murad IV lub Selim II, niezadowolnieni z Dywanu, wściekłą dłonią uderzali w złoconą kratę swego ukrycia. Wtedy, po długiém milczeniu, podczas którego porozumiewali się przerażonym wzrokiem, prowadzili daléj narady zawsze równie uroczystym głosem i z równie nieruchomą twarzą, ale zlodowaciałe ręce długo drżały w szerokich rękawach, a dusze polecały się Bogu.

W głębi tego drugiego dziedzińca, była trzecia brama wsparta na marmurowych kolumnach i pokryta wypukłym dachem; przed tą bramą w dnie i w nocy stała gromada białych eunuchów i batalion żołnierzy uzbrojonych w pałasze i puginały.

To słynna brama Bab-Seadet czyli brama *Pomyślności* prowadząca na trzeci dziedziniec; przez cztery wieki blizko, brama ta zamkniętą była dla wszystkich chrześcian, z wyjątkiem przybywających w imieniu jakiegoś króla lub narodu. Jest to owa tajemnicza brama do któréj pukało daremnie tylu możnych i sławnych podróżników; z któréj wyszło i rozgłosiło się po świecie tyle pięknych i smutnych legend, tyle pogłosek o taj mnicach miłości i krwawych dramatach; uroczysta brama przybytku króla królów, któréj nazwę lud wymawiał z tajonym dreszczem przerażenia, jako zamykającéj czarodziejskie koło, którą gdyby śmiał przekroczyć profan jaki, skamieniałby na miejscu lub też ujrzałby rzeczy których mowa ludzka wyrazić ani opisać nie jest w stanie; brama przed którą dziś jeszcze podróżnik choćby najzimniejszy i wcale nie zalecający się żywą wyobraźnią, zatrzymuje się z pewném wahaniem i patrzy z osłupieniem na cień swego kapelusza odbijający się na roztwartych drzwiach.

A jednak wzburzone fale buntów wojskowych nie zatrzymały się przed tą uświęconą bramą, a nawet można powiedzieć, że ta część dziedzińca zawarta między salą posiedzeń Dywanu a bramą Seadet, jest właśnie miejscem w którém rozwścieczeni buntownicy dopuszczali się najokrutniejszych i najkrwawszych czynów. Wielki władzca rządził ostrzem miecza i miecz też narzucał mu swe prawa; despotyzm bronił przystępu do wielkiego seraju i despotyzm téż gwałcił jego progi. I wtedy można było przekonać, na jak to kruchéj podstawie opierał się groźny kolos, gdy ostrze bagnetów przestawało go otaczać! Wśród nocy, zbrojne hordy janczarów i spahów, z płonącemi głowniami w ręku, wyłamywały toporami bramy pierwszego i drugiego dziedzińca, i wpadali tu z zatkniętemi na końcach pałaszy podaniami, w których domagano się głów wezyrów, a wrzaskliwe domagania się ich śmierci rozlegały się wśród niedostępnych murów, w świętém schronieniu ich wielkiego władzcy, w którém zapanowało straszne zamieszanie i przerażenie. Daremnie z wysokości murów rzucano im wory złota i srebra; daremnie muftowie, ulemowie, szeikowie i dygnitarze dworu, obłąkani przerażeniem, prosili, przekładali, pragnąc rozbroić ręce miotane wściekłością; daremnie sułtanki Valide posiniałe z przerażenia, ukazywały przez zakratowane okna swe niewinne dzieci—rozhukany i zajadły tłum domagał się swéj zdobyczy, żywych ofiar, ich ciała, krwi i głów do zatknięcia na pikach. Sułta-

nowie, wsparci o blanki muru, odważali się pokazać na barykadach bramy, w pośród drżących eunuchów i paziów, zbrojnych w bezużyteczne puginały; targowali się o każdą z osobna głowę, przyrzekali, płakali, błagali łaski w imię swéj matki, synów, proroka, chwały państwa i pokoju świata — na te bezsilne wołania, odpowiadano wybuchem groźb i zniewag, szalonem poruszaniem płonących pochodni i podnoszeniem pałaszy. Wtedy przez bramę Pomyślności (Bab-Seadet) wychodzili po jednemu, aby wpaść w ręce rozwścieczonéj, krwi chciwéj tłuszczy, drżący zawiadujący skarbami, wezyrowie, eunuchowie, faworyci, jenerałowie, i jeden po drugim zostawali zarąbani stu pałaszami, zdeptani setkami stóp. Takim sposobem Murad III wydał Mehemeda, ulubionego swego sokolnika, który w oczach jego został poćwiertowany; Mahomet III Kislar-aggę Otmana i Gaznefera, przywódzcę białych eunuchów i zniewolony był, w obec ich trupów, oddać pokłon rozwścieczonemu żołdactwu; Murad IV z głośném łkaniem wydał wielkiego swego wezyra, Hafiza, w którego pierś ugodziło i rozszarpało dwanaście sztyletów. Selim III zniewolony był wydać na pastwę głowy całego swego Dywanu—a gdy padyszahowie wracali do swych podwoi z przekleństwem na ustach, pijani boleścią i wstydem, buntownicy przebiegali ulice Stambułu, wlokąc z tryumfem szczątki rozsiekanych trupów, które okazywali tłumom przyświecając dogorywającemi pochodniami.

Z bramy Bab-Seadet, równie jak z bramy Babel-Selam, wychodził drugi sekretny korytarz, prowadzący do tajemniczego schronienia „brata słońca.“

Było to jakby czarnoksięzkie miasto, dziwny bezład architektoniczny tajemniczych i prześlicznych budowli, ukrytych w cieniu cyprysów i olbrzymich platanów, osłaniających dachy swemi gałęziami a swym cieniem niepojęty labirynt ogrodów pełnych najcudowniejszych kwiatów; dziedzińców otoczonych portykami; uliczek przy których wznosiły się kioski chińskie i pawilony; jezior otoczonych mirtowemi drzewami, w których fal zwierciadle odbijały się białe meczety i małe srebrzyste kopuły gmachów zbudowanych w kształcie świątyń i klasztorów, połączonych z sobą galeryami, wspartemi na lekkich kolumnach. Rzeźbione i malowane dachy wystawały po za portyki pokryte arabeskami, a po małych zewnętrznych schodkach schodziło się na tarasy otoczone pięknemi balustradami. Ze wszystkich stron roztaczał się rozległy widok na morze Marmora, dwa wybrzeża Bosforu, na port i na Stambuł. Było to jakby miasto kryjące się w masie zieleni, budowane powoli, bez planu, według chwilowéj potrzeby lub kaprysu, okazałe i nietrwałe jak dekoracya teatralna, pełne skrytek i zazdrośnych kryjówek, mogące widziéć wszystko a samo niewidzialne; pełne ludzi a wydające się zupełnie osamotnione, jakby panował tu jeszcze pasterski i poważny ustrój dawnych książąt muzułmańskich. Był to obóz kamienny przypominający jeszcze, mimo swego przepychu, szałasowe obozowisko koczujących plemion Tartaryi; niezmierzony pałac złożony ze stu pałaców kryjących się jeden w drugim, tchnący zarazem smutkiem i więzieniem, powagą świątyni i wiejską rozkoszą; widok pełen królewskiego przepychu i barbarzyńskiéj prostoty, w obec którego obcy przybysz zadawał sobie pytanie: w jakim wieku żyje i do jakiego dostał się świata. Było to serce seraju, do którego dochodziły wszystkie żyły monarchii i zkąd rozchodziły się arterye całego państwa.

Pierwszy gmach od wejścia, mieścił w sobie salę tronową, istniejącą dotąd i którą wolno zwiedzać. Jest to niewielki czworokątny budynek, otoczony pięknym marmurowym portykiem, do którego wchodzi się przez bogatą bramę po bokach któréj znajdują się dwie piękne fontanny. Salę pokrywa sklepienie ozdobione bogatemi złoconemi arabeskami, ściany pokryte marmurem i porcelaną; w środku wznosi się marmurowa fontanna; światło wchodzi przez wysokie okna z kolorowemi szybami; w głębi stoi tron w kształcie wielkiego łoża, pokryty baldachinem z perłową frendzlą, wsparty na czterech miedzianych złoconych kolumnach, zdobnych arabeskami i drogiemi kamieniami. Po nad baldachinem wznoszą się cztery kule złote z czterema półksiężycami, od których spuszczają się końskie ogony, godło wojennéj potęgi Padyszaha. Tu wielki władzca dawał uroczyste przyjęcia, w obec całego swego dworu; tu składano u stóp jego zabitych braci lub synowców, aby ubezpieczyć jego panowanie przeciw spiskom i zdradom.

Tak zginęło dziewiętnastu braci Mahometa III. Posłyszawszy w więzieniu wystrzały armatnie zwiastujące Azyi i Europie śmierć ich ojca. zrozumieli że one zarazem śmierć ich zapowiadają. Jakoż niemi serajowi nagromadzili martwe ich zwłoki u stóp tronu; a byli tam przedstawiciele różnych wieków, począwszy od lat dziecinnych aż do wieku dojrzałego; jasne główki dzieci, spoczywały na piersiach młodzieńców, siwe głowy starców, przygniatały stopy młodszych braci. Ileż to razy wspaniałe złote i porcelanowe arabeski krwią były zbryzgane w tych salach, w których strasznym wybuchali gniewem Selim II, Murad IV, Achmet I, i Ibrahim, przypatrujący się z tryumfem rozpaczliwym mękom konania. Iluż to zamordowano tu wezyrów, przez roztrzaskanie im głów o marmur fontanny! ile tarzało się głów gubernatorów, przywiezionych z Syryi i Egiptu przez zawieszenie u siodeł agów. Wchodzący tu z jakimś zarzutem w sumieniu, odwracali się na progu aby ostatniém spojrzeniem pożegnać piękne niebo i zielone wzgórza Azyi, a kto wychodził „cało pozdrawiał słońce z uczuciem chorego powracającego do zdrowia.

Wyszedłszy z sali tronowéj, przechodzi się przez ogrody i małe dziedzińce otoczone niewielkiemi budowlami o łukach maurytańskich, wspierających się na lekkiéj marmurowéj kolumnadzie. Tu było kollegium paziów, w którém przygotowywali się do zajęcia wysokich stanowisk, na dworze i w państwie. Wśród tych budowli wznosił się szereg pięknych saraceńskich kiosków, z otwartymi perystylami, w których pomieszczona była biblioteka. Nie daleko biblioteki wznosił się pawilon skarbca cesarskiego, w którym mieściły się niezliczone bogactwa, składające się po większéj części z drogocennych broni, zdobytych lub ofiarowanych sułtanom, lub téż złożonych przez nich samych na wieczną pamiątkę. Mahmud II który był zdolnym bardzo kaligrafem i chętnie się z tego chełpił, złożył tu swój kałamarz złoty, wysadzany brylantami. Obecnie znaczna część tych skarbów, zamieniona na monetę, przeszła do skarbu publicznego. Ale za świetnych czasów monarchii, w pawilonie błyszczały damasceńskie szable, których rękojeście całe pokryte były perłami i drogiemi kamieniami; ogromne pistolety na kolbie których było osadzonych po dwieście dyamentów; puginały których oprawa wynosiła wartość rocznego dochodu jakiejś azyatyckiéj prowincyi; szczero srebrne maczugi, oprawne w jedną sztukę złoconego kryształu, rznięteg w regularne ścianki. W pośród broni lśniły niezrównanym ogniem zapinki z drogich kamieni Murada i Mahometa; puhary agatowe, czary wydrążone z jednéj sztuki turkusu; naszyjniki brylantowe; pasy haftowane perłami, siodła pokryte złotem, kobierce lśniące od drogich kamieni — od blasku tych bogactw cała sala zdawała się w ogniu, olśniewając i rozum i oczy.

W pobliżu pawilonu skarbca; stoi po dziś dzień w pośród samotnego ogrodu, słynna owa *klatka na ptaki*, w któréj, od czasu Mahometa IV zamykano książąt krwi budzących nieufność w Padyszahu. Pozostawali tam, jakby zagrzebani żywcem, oczekując chwili w któréj okrzyk janczarów wyniesie ich na tron, lub téż przybycia kata mającego wydrzéć im życie. Jest to budynek w kształcie małéj świątyni, o grubych murach, bez okien, oświetlony z góry i zamknięty małemi żelaznemi drzwiami, które jeszcze zapierano wielkim kamieniem. Tu zamknięty był niedawno Abdul-Azis, na krótki przeciąg czasu jaki upłynął między jego uwięzieniem a śmiercią. Tu skończył straszną i nędzną śmiercią Ibrahim, ów Kaligula Otomanów, i widmo jego pierwsze staje w umyśle obcego podróżnika zwiedzającego tę nekropolę żyjących. Agowie wojskowi porwali go z tronu i jak pierwszego lepszego nędznika, wtrącili do więzienia, w którém został zamknięty z dwiema ulubionemi swemi odaliskami. Po gwałtownych wybuchach rozpaczy, poddał się swemu losowi. „Tak było napisane na mojém czole, rzekł; taki był wyrok Boga.“ Z tak rozległego państwa i niezliczonego haremu, w którym szalał i dokazywał przez lat dziewięć, pozostało mu tylko więzienie, dwie niewolnice i Koran, ale był przekonany że życiu jego nie grozi niebezpieczeństwo, i żył spokojny łudząc się jeszcze nadzieją, że stronnicy jego z kawiarni i koszar Stambułu, zdołają powrócić go na tron. Zapomniał o téj sentencyi Koranu: „jeźli jest dwóch kalifów, zabić jednego“ o któréj dobrze pamiętał mufty zapytany przez agów i wezyrów. W ostatni dzień życia, siedział na macie w kącie swego grobu, czytając Koran; przed nim stały dwie jego niewolnice, z zakrzyżowanemi na piersiach rękami. Miał na sobie czarny kaftan, w pasie opasany był poszarpanym szalem; na głowę włożył czerwoną wełnianą czapeczkę. Blady promień słońca spuszczający się od sklepienia, oświetlał, wychudłą, zżółkłą jak wosk, ale spokojną twarz jego. Wtém zerwał się usłyszawszy jakiś szmer, drzwi się otworzyły, grupa strasznych postaci stanęła na progu. Zrozumiał co to znaczy. Podniósł oczy na żakratowaną trybunę umieszczoną wysoko przy jednéj ze ścian i widział przez kraty niewzruszone twarze agów, muftych i wezyrów, na których wypisany był jego wyrok. Ogarnęło go przerażenie i tłum błagalnych słów wydarł mu się z ust: miejcie litość nade mną! wołał; miejcie litość nad waszym Padyszahem! Darujcie mi życie! Który z was jadł mój chleb, w Imię Boga! niech stanie w méj obronie... Ty, mufty Abdulrahimie, zastanów się nad tém co chcesz uczynić. Ach! jakże ludzie są ślepi i bezrozumni! Teraz ci powiem: Yussuf pasza doradzał mi uparcie abym cię skazał na śmierć jako zdrajcę, ja nie chciałem go usłuchać, a ty dziś chcesz mojéj śmierci!... Czytaj Koran! jak ja go czytam, czytaj słowo Boże, potępiające niewdzięcznych i niesprawiedliwych; zostaw mi życie Abdul-rahimie; życie! życie!...“ Drżący kat wzniósł oczy ku trybunie, ale głos oschły, wychodzący z grona tych nieruchomych jak widma postaci, wyrzekł: „Kara Ali, spełń twoją powinność!“ Kat położył dłonie na ramionach Ibrahima; ten krzyknął rozpaczliwie i schronił się po za dwie niewolnice, ale pobiegł za nim Kara Ali i czauszowie, odtrącili kobiety i rzucili się na Padyszaha. Usłyszano upadek ciała, złorzeczenia i bluźnierstwa — potem głuche nastało milczenie. Niewielki jedwabny sznurek, wyprawił do wieczności dziewiętnastego padyszaha z dynastyi Osmanlisów.

I inne jeszcze budowle rozrzucone były wśród gai

i ogrodów. Łaźnie Solimana II obejmowały trzydzieści dwie ogromne sale, na których ozdobę składał się marmur, złoto, rzeźba i malowanie; były to ośmiokątne lub okrągłe kioski, zakończone kopułami i rozmaitemi dachami. W oknach, których kolorowe szyby rzucały łagodne niebieskawe lub różowe światło, zawieszone były złocone klatki ze słowikami i papugami. W niektórych z tych kiosków, padyszahowie kazali czytywać sobie *Tysiąc i jedna nocy*; w innych dawano młodym książętom pierwsze lekcye czytania. Nakoniec, w najtajniejszéj części haremu, stał przybytek relikwi, czyli *pokój szlachetnych szat* na wzór złoconych sal cesarzów bizantyńskich, i zamknięty na drzwi posrebrzane. Tu przechowywano płaszcz Proroka, odkrywany uroczyście raz do roku w obec całego dworu; jego łuk zamknięty w srebrnym futerale i czczoną wysoko chorągiew świętych wojen owiniętą w czterdzieści jedwaonych pokrowców „któréj sam widok oślepiłby jak grom piorunu, każdego niewiernego coby się odważył spojrzéć na nią." Tu przechowywano wszystko co tylko było najświętszego i najdroższego, co dynastya utrzymywała w największéj tajemnicy.

Na lewo, w jednym rogu trzeciego tego dziedzińca, w cieniu największych drzew, wśród nieustannego szumu wodotrysków i świergotu ptaków, wznosił się harem, stanowiący jakby oddzielną dzielnicę cesarskiego miasta, i składający się z wielu małych budowli białych, pokrytych ołowianemi kopułami, które ocieniały drzewa pomarańczowe, a dzieliły z sobą ogrody opasane murem pokrytym bluszczem i kaprifolium. W pośród tego wszystkiego wiły się ścieżyny wykładane jak mozajką muszlami i kamykami, tworzące labirynty bez wyjścia. Tu żyła, kochała, cierpiała i odnawiała się nieustannie, cała kobieca rodzina padyszaha. Był to jakby wielki zakon, którego relgią była rozkosz a bóstwem sułtan. Tu były także apartamenta sułtańskie; tu zamieszkiwały cztery pierwsze faworyty wielkiego władzcy, i każda miała swój kiosk, swój mały dwór. swoich wielkich urzędników, swoje atłasem wysłane łodzie, złocone karety, eunuchów, niewolnice i swoje *dochody pantoflowe* wynoszące podatki całéj prowincyi. Tu zamieszkiwała sułtanka matka, ze swym niezliczonym orszakiem tak zwanych *usta*, podzielonym na oddziały po dwudziestu lub trzydziestu, z których każdy oddzielną, specyalną pełnił służbę.

Ileż to jest przywiązanych wspomnień do drzew tych ogrodów, do ścian tych białych domów! Ileż to pięknych cór Kaukazu i Archipelagu, gór Albanii i Etyopii i najodleglejszych stron, muzułmanek, chrześcianek, poganek, zdobytych przez paszów, kupionych przez handlarzy, ofiarowanych przez panów. porwanych przez korsarzy, przesunęły się jak cienie pod temi srebrzystemi kopułami! Tu wiódł najrozpustniejsze życie Ibrahim I. z głową uwieńczoną kwiatami i z brodą lśniącą od drogich kamieni, który podwyższył ceny niewolnic na targowiskach Azyi; tu szalał Murad III ojciec stu synów; tu odprawiał rozkiełznane swe orgie Selim II.

Nie sądźmy jednak że w tym labiryncie kiosków i ogrodów, krzyżowały się tylko miłosne intrygi i czcze paplaniny — polityka wciskała się szparami wszystkich drzwi i okien, szczelinami wszystkich krat, i wpływ pięknych oczu oddziaływał tu równie potężnie na bieg spraw państwowych, jak i w pałacach Zachodu, Zamknięte i monotonne życie, potęgowało porywy zazdrości i ambicyi. Te ładne główki błyszczące klejnotami, z głębi swoich wonnych więzień, trzęsły dworem, dywanem, serajem. Za pośrednictwem eunuchów, znosiły się z muftym, wezyrami i agami janczarów; przez administratorów swych majątków. z którymi mogły naradzać się przez kratę lub zasłonę, dowiadywały się o wszystkiém co się działo na dworze i w stolicy; wiedziały zkąd i jakie zagrażało im niebezpieczeństwo: jakich mężów Stanu miały się obawiać i na jakich liczyć mogły, i knuły cierpliwie i wytrwale tajemne spiski, mające obalić nieprzyjaciół a wynieść ich protegowanych. Wszelkie stronnictwa istniejące na dworze i w Państwie, zapuszczały tu swe korzenie, krzewiące się w sercach sułtanek Valide, siostr sułtana kadin i odalisk. Tu wiedziono nieskończone spory o wychowanie synów, małżeństwo córek, uposażenie, następstwo tronu, pokój i wojnę. Kaprysy tych piękności wyprawiały trzydziesto tysięczne hufce janczarów i spahów, zaścielać trupami wybrzeża Dunaju a flotę o stu okrętach aby zakrwawiały wody morza Czarnego i Archipelagu. Książęta Europy znosili się z niemi przez tajemne listy aby zapewnić powodzenie swoim poselstwom. Z ich małych rączek wychodziły firmany mianujące gubernatorów prowincyj i nadające wysokie stopnie wojskowe. Pieszczoty Roxolany spowodowały uduszenie wezyrów Achmeta i Ibrahima; dzięki pocałunkom Saffié, pięknéj Wenecyanki, *perły i muszli kalifatu*, przez wiele lat utrzymywały się przyjazne stosunki między Portą a rzeczpospolitą Wenecką. Przez ostatnie dwadzieścia lat szesnastego stulecia, zarządzało państwem siedm kadin Murada III. Piękna Makheiker. *piękność z księżyca*, to kadina posiadająca siedmset szali, za Ahmeda I i Mahometa IV panowała nad dwoma morzami i dwoma światami. W pierwszych dziesięciu latach, drugiéj połowy XVIII stulecia, Rebia Gulnuz . odaliska o stu srebrnych karetach, rządziła wszechwładnie Dywanem.

Jakiż to musiał panować chaos wybiegów, intryg i szpiegostwa. jaka sieć donoszeń i plotek w tym ciasnym zakresie, a jak ciekawą i straszną zarazem byłaby wierna kronika tego seraju.

Zdarzało się w tym małym Babilonie, że straszne okrzyki buntu przerażały zatopionych w rozkoszach; buntownicy nie szanowali tego trzeciego dziedzińca więcéj jak dwóch pierwszych. Żołdacy wyłamywali bramę *Pomyślności* i wpadali do haremu, Daremnie stu eunuchów broniło puginałami przekroczenia progów kiosków: janczarowie wdzierali się na dachy, rozwalali kopuły i wpadali do salonów, aby młodych książąt wydrzéć z rąk ich matek. Wyciągali sułtanki Walide z kryjówek, w których szukały schronienia, broniły się uporczywie paznokciami i zębami, daremnie—padały zaduszone sznurami zdobiącemi obicia. Na widok próżnych kolebek, sułtanki z rozpaczliwym krzykiem pytały niewolników, gdzie ich dzieci? Odpowiadało im tylko przerażające milczenie, zdające się mówić: „Idź, dziecię twe znajdziesz u stóp tronu, zamordowane." Przerażeni eunuchowie wpadali do komnat zbudzonych oddalonym zgiełkiem faworyt sułtana, zawiadomić je żeby się gotowały na śmierć, gdyż ta czeka je za chwilę. Trzy kadiny Selima III skazane na uduszenie, słyszały umierając wzajemne ostatnie swe krzyki rozpaczy i skończyły zaduszone przez niemych. W kioskach tych rozlegały się przerażające krzyki strasznéj zazdrości i nienawiści, szerzące w haremie niewysłowiony przestrach. Matka Mustafa utopiła paznokcie w twarzy Roxolany; sułtanka Tarahan widziała jak nad głową jéj dzieci zabłysł puginał Mahometa IV, pierwsza kadina Achmeta I. własnemi rękami zadusiła niewolnicę swoją rywalkę, i sama z kolei skonała u stóp padyszaha, pod ciosami jego puginału. A ileż to zginęło bez wieści, zaduszonych, zabitych rękojeściami szpad, zamordowanych przez zazdrosne rywalki! Zasłony tłumiły krzyki, kwiaty przysłaniały krew: dwa cienie przesunęły się przez labirynt ciemnych uliczek, niosąc coś czarnego, i tylko straż na wieżycach nad brzegami morza Marmora słyszała odgłos jakiegoś ciężaru rzuconego w wodę; a rano harem budził się wonny i rozkoszny jak zwykle, nie spostrzegając nawet że jeden z tysiąca jego apartamentów stanął pustkami.

Oprócz wymienionych, Stary Seraj obejmował jeszcze niezliczoną liczbę pałacy i kiosków, jedne zachowały się dotąd, inne rozsypują w gruzy. Od lat trzydziestu przeszło stoi on opuszczony na samotnem wzgórzu, patrząc na niego można powtórzyć słowa perskiego poety, które powiedział Mahomet Zdobywca gdy wstępował w progi opustoszałego pałacu cesarzów Wschodu: „Pająk snuje swe pajęcze sieci w komnatach królów, a pod wspaniałemi sklepieniami Erasiabu rozlega się złowrogi krzyk kruka."

Dolma-Bagtcze.

Ze Starego Seraju, przejdźmy do nowego pałacu sułtanów, zwanego Dolma-Bagtcze, roztaczającego się od Szczytu Serajowego do ujść morza Czarnego. Tylko płynąc kaikiem, można objąc spojrzeniem jego całość. Fasada rozciągająca się na blizko półmilowéj przestrzeni (mili włoskiéj) zwrócona jest ku Azyi, z bardzo daleka odbija biała od modrych fal morza i ciemnéj zieleni przybrzeżnych wzgórz. Właściwie mówiąc nie jest to pałac, ale jedyny w swoim rodzaju utwór architektoniczny, w którym mieszają się wszystkie style, arabski, grecki, gotycki, turecki, romański i odrodzenia. Łączy on w sobie obok wspaniałości przewyższającéj wszystkie europejskie pałace królewskie, prawie kobiecy wdzięk królewskich rezydencyj Sewilli i Grenady. To nie „pałac" ale raczéj „miasto cesarskie" jak cesarza chińskiego, a kształty jego i rozległość każą wnosić że chyba nie jeden, ale z dziesięciu monarchów w nim przemieszkuje.

Od strony Bosforu przedstawia się szereg fasad jakby teatrów lub świątyń, przeciążonych ozdobami; przypominają one owe bajeczne pagody indyjskie, nużące wzrok nadmiarem piękności. Długie aż w morzu kąpiące się schody marmurowe, prowadzą od bram pałacu na wybrzeże. Wszystko tu jest takie białe, świeże, nowe, jakby dopiero skończone. Oko artysty mogłoby tu wykazać tysiące błędów przeciw harmonii i smakowi, ale całość tej niezmierzonéj masy, pierwsze spojrzenie na tę grupę pałaców białych jak śnieg, wykończonych jak oprawa klejnotów, uwieńczonych zielenią, cudnie odbijających się w falach morskich, pozostawia niezatarte wrażenie tajemniczości i miłości, każące zapomniéć o wzgórzu Starego Seraju. Wnętrze odpowiada przepychowi fasady. Obejmuje ono długie sale których freski przedstawiają żywemi kolorami najfantastyczniejsze pomysły. Drzwi cedrowe lub mahoniowe, zdobne złoceniami i prześliczną rzeźbą, wychodzą na niezliczoną ilość korytarzy łagodném oświetlonych światłem, z których wchodzi się do innych salonów, oświetlonych purpurowo przez kopuły z czerwonego kryształu, oraz do łaźni które zdają się jakby wykute z jednéj sztuki marmuru z Paros. Szczęśliwcy którzy mogli je widziéć, powiadają że ztamtąd wychodzi się na nadpowietrzne tarasy, zawieszone po nad tajemniczemi ogrodami i gajami z cyprysów i róż, z których można dojrzéć błękit nieba, przez długi szereg maurytańskich portyków. Okna, tarasy, galerye, kioski, wszystko to zapełnione jest prawie kwiatami; wszędzie pełno fontan z których wytryskująca woda opada drobniutkim deszczem na kwiaty i marmury; wszędzie otwiera się przepyszny widok na Bosfor, którego ożywcze powietrze, roztacza rozkoszny chłód w naj-

tajniejszych nawet schronieniach olbrzymiego pałacu.

Od strony Funduklu, wznosi się pomnikowa brama przeciążona ozdobami, którą zazwyczaj wyjeżdżają udający się na miasto sułtani. Ponieważ zdarzało się niekiedy, skutkiem zmowy i intryg pałacowych, że czas jakiś ukrywano czy to naturalną czy gwałtowną śmierć sułtana, zatem weszło w zwyczaj że dla przekonania wiernych swoich poddanych o swém zdrowiu i życiu, sułtani, co piątek, wyjeżdżają do meczetu.

Obecnie taki wyjazd padyszaha nie przedstawia nic uroczystego. Pół godziny pierwéj dwie kompanie wojska stają szeregiem po obu stronach drogi jaką ma przejeżdżać sułtan, pewna liczba powozów w których siedzą tureccy dygnitarze lub damy cudzoziemki, i mniejszy lub większy tłum najróżnorodniejszéj publiczności.

„Widziałem taki wyjazd i powrót do pałacu Abdul-Azis'a, mówi pan de Amici, a wtedy to właśnie zaczęły obiegać coraz głośniejsze pogłoski o jego szaleństwach i dziwactwach. Lud mówił: „Mahmud łaknął krwi, Abdul-Mezżid kobiet, Abdul-Azis łaknie złota.“ Rozwiały się już wielkie nadzieje pokładane w nim gdy jako następca tronu zabijał wołu uderzeniem pięści, mówiąc: „Tak zabiję barbarzyństwo.“ Okazywana dążność do prostego i surowego życia, jaką objawiał w pierwszych początkach swego panowania, kochając, jak mówiono, jedną tylko kobietę i ograniczając bezprzykładnie ogromne wydatki serajowe — przeszły w dziedzinę wspomnień. Zaniedbał naukę prawodawstwa, sztuki wojennéj i literatury europejskiéj, oddając się całkiem swoim fantazyom i zachciewkom. Codziennie mówiono o jakimś szalonym wybuchu gniewu przeciw ministrowi skarbu, który nie chciał czy nie mógł dać mu tyle złota ile żądał. Jeżli tylko minister odważył się zrobić mu najlżejszą uwagę, ciskał na głowę jego pierwszy lepszy będący pod ręką przedmiot, wypowiadając przytém jednym tchem starożytną formułę cesarskiéj przysięgi. „Na Boga Stworzyciela nieba i ziemi, na Proroka Mahometa, na siedm waryantów Koranu, na duszę mego dziada i mego ojca, na moją szpadę, przysięgam: iż jeźli nie przyniesiesz mi pieniędzy, każę zatknąć twoją głowę na szczycie najwyższego minaretu Stambułu.“ I bądź co bądź żądanie jego musiało być spełnione, a wydarte tym sposobem pieniądze, już to zgarniał i chował zazdrośnie, jak najpospolitszy skąpiec, już to rzucał pełnemi garściami na najniedorzeczniejsze kaprysy. Już to ogarniała go mania lwów, już znów tygrysów i kazał zakupywać ich w Afryce i w Indyach. W parę dni potém, rozlegał się w pałacu krzyk pięciuset papug, jedne powtarzających słowa. Potém nastało upodobanie w karetach i w fortepianach, których jednak nie pozwalał stawiać i grać inaczéj jak ustawiając je na plecach czterech niewolników. Daléj mania walk kogutów, którym przyklaskiwał z największym zapałem i sam zawieszał medal na szyi zwycięzcy a zwyciężonych skazywał na wygnanie na drugą stronę Bosforu; daléj znów opanowała go namiętność do gry, upodobanie w kioskach i obrazach — zdawało się że na sułtańskim dworze, wracają czasy Ibrahima I. Ale nic nie zdołało zadowolnić biednego padyszaha; ze śmiertelnych nudów przechodził do dręczącego niepokoju; był smutny i porywczy, zdawałoby się iż przeczuwał smutny swój koniec. Niekiedy zdawało mu się że umrze z otrucia, i przez pewien czas, nie dowierzając nikomu, jadał tylko twarde jaja; to znów ogarniała go obawa pożaru, i kazał wynosić ze swego mieszkania wszelkie meble i przedmioty drewniane, nawet ramy od luster. Jednak pomimo tych szaleństw, zachował siłę woli, umiał zniewolić wszystkich swych dostojników do ślepego posłuszeństwa; najodważniejsi drżeli przed nim. Jedna tylko matka wielki wpływ miała nad nim, a była to kobieta próżna i despotyczna; w pierwszych latach jego panowania, kazała wykładać drogiemi kobiercami ulice któremi syn jéj miał przejeżdżać do meczetu, a na drugi dzień darowywała je niewolnikom którzy je zdejmowali.

Cały Stambuł mówił o jego dziwactwach, spotęgowanych jeszcze przez tysiączne powtarzające je usta, i może wtenczas już zaczął kiełkować spisek który we dwa lata późniéj strącił go z tronu. Jak wierzą muzułmanie, upadek jego był już zapisany, a z nim i wyrok wydany następnie o nim i o jego panowaniu, niewiele się różniący od sądów wydanych o wszystkich niemal ostatnich sułtanach.

Popychani ku cywilizacyi europejskiéj, powierzchowną wprawdzie ale liberalną edukacyą, książęta cesarscy w zapale pierwszéj młodości, żądni nowości i sławy, zanim wstąpią na tron, układają sobie wielkie plany zbawiennych reform, i mają silne i szczere postanowienie, oddać się całkiem temu wielkiemu dziełu i poświęcić życie poważnéj pracy, walkom i trudom; ale po kilku latach panowania, widząc bezużyteczność najlepszych usiłowań, zrażeni tysiącznemi przeszkodami jakie im stawiają tradycye i zadawnione nałogi, oraz nieustanną walką i z rzeczami i z ludźmi, przerażeni wielkością zadania, któréj nie obliczyli dokładnie, tracą ufność w możliwość spełnienia go, leniwieją, w rozkoszach szukają szczęścia jakie miała im dać chwała, i zatopieni w zmysłowém rozkiełznaniu, tracą nawet pamięć o wielkich swoich planach i poczucie własnego poniżenia. I dla tego to wstąpienie na tron każdego nowego sułtana, zapowiada nową erę pomyślności, która nigdy się nie urzeczywistnia.

Korespondencya Zagraniczna.

Londyn 12 Lutego.

Niepewny rezultat wojny afgańskiéj. Powrót do cel protekcyjnych. Bezrobocia. Stowarzyszenie tramps'ów. Cyganie. Zamierzona reforma praw. Zmniejszenie się bogactwa narodowego. Plama na słońcu i jéj skutki. Składka na mieszkańców wyspy Pitkairu; ich tęsknota do swoich jałowych skał. Nagroda dla szybkobiegaczy. Środki w celu zapobieżenia pijaństwu. Pani Molloy. Życie publiczne lorda Beaconsfield. Małżeństwo republikańskie.

Coraz więcéj czarnych punktów i punkcików gromadzi się na ołowianem niebie Londynu, to też pomimo pomyślnego powodzenia wyprawy afganistańskiéj, ludność bardzo jest zaniepokojona.

Nie można jeszcze wiedzieć stanowczo kiedy zakończy się wojna afganistańska, a już wybuchła nowa z Afryce z królikiem Zulusów, Cetywayo i początek jéj zaznaczył się klęską poniesioną przez Anglików nad rzeką Tugelą. Anglicy posiadają tam siły bardzo małe a dostawienie posiłków zajmie parę miesięcy.

Obecny Parlament będzie musiał traktować o nader ważnych kwestyach wewnętrznych, z których najwybitniejszą może jest kwestya wolności handlu, która dotąd niezupełnie zadawalniające wydała owoce. Ze wszystkich stron kraju przybywają do Izby petycye podpisane przez najznakomitszych fabrykantów, żądające zmian zasadniczych w dotychczasowym systemie, z tytułu jakoby „odwzajemnienia się“ za postanowienia zapadłe w innych krajach. W chwili pomyślnego rozwoju zasady Cobden'a, Anglia przeciążona była nadmiarem wyrobów i dla ich zbytu musiała szukać nowych targowisk; dziś także warsztaty jéj i rękodzielnie produkują zanadto na potrzeby miejscowe, a na obcych targowiskach wytwory angielskie współzawodniczyć muszą z taniemi produktami innych krajów, którym Anglia sama dostarczyła wzorów i maszyn. To co odbiera w zamian za swoje wyroby, nie zdoła wynagrodzić strat ponoszonych na targach europejskich z powodu wolności handlu, pragnie więc Anglia powstrzymać konkurencyą dopokąd czas jeszcze. Najniezawodniéj na tegorocznych posiedzeniach Parlamentu, zapadną postanowienia zaprowadzające znaczne w tym kierunku zmiany, gdyż stronnicy wolności handlu, dawniéj tak przekonani że system ten stanie się wogóle nader zbawiennym dla całéj ludzkości, widzą że dziś stałby się jedynie powodem obniżenia wartości wytworów krajowych i zaciętej walki, w któréj wszelkie gałęzie przemysłu wzajemnie popychałyby się do zguby.

Nieporozumienia między robotnikami a ich chlebodawcami caraz większe przybierają rozmiary, narażając najżywotniejsze interesa kraju. Dotąd głównie zmowy i bezrobocia ograniczały się do górników i tkaczy, obecnie ogarnia i inne gałęzie przemysłu. Zmowa urzędników Towarzystwa centralnego kolei żelaznych trwa nieprzerwanie; jak zwykle w podobnych razach, obie poważnione strony przytaczają dość słuszne przyczyny na swoje usprawiedliwienie. Dyrektorowie tłomacząc się zastojem interesów, żądają dłuższéj pracy, zmniejszając zarazem płacę, urzędnicy znowu, coraz wzmagającą się drożyzną usprawiedliwiają domaganie się powiększenia pensyi. Od czasu bezrobocia górników, przewóz kolejami zmniejszył się o połowę i w tymże stosunku podniosły się ceny żywności i opału, obie więc strony mają poniekąd słuszność, zwołują metingi, zdaje się jednak że nieporozumienie między dyrekcyami kolei a urzędnikami ukończy się wspólną ugodą.

Zatargi między fermierami a robotnikami, z powodu zmniejszenia zarobnego, coraz większe przybierają rozmiary, a przybycie do Londynu, z hrabstw Sussex i Kent, robotników wiejskich którzy skutkiem umówionego bezrobocia zaprzestali pracy około roli, wywołało narady najcelniejszych tutejszych ekonomistów nad przyczynami upadku rolnictwa.

Należący do zmowy pracownicy rolni, przychodzili skarżyć się na obniżenie zarobnego z 23 szylingów na 22 dla najzdolniejszych, i z 16 na 15 szylingów dla prostych wyrobników, protestując zarazem przeciw wojnie, ktora według nich jest głównym powodem nędzy gnębiącéj ludność wiejską. Dzienniki oppozycyi umiały wyzyskać tę sposobność, tak dalece, że obudziły trwogę w ludności londyńskiéj obawiającéj się napływu tych „męczenników systemu rolnego, tych ofiar niesprawiedliwości wielkich właścicieli ziemskich, wychudłych, wybladłych, umierających z zimna i głodu, wynędzniałych od gorączki i zbytku pracy“ jakież było zadziwienie poczciwych mieszczan londyńskich, gdy ujrzeli wieśniaków silnych, dobrze zbudowanych, zdrowych i rumianych. „Nieludzcy, okrótni bogacze, wysysający jak upiory krew biednego ludu“ nie bardzo im jakoś dokuczyli, skoro przy bladych i wynędzniałych robotnikach londyńskich, wyglądali jak olbrzymi.

Niezliczone tłumy robotników zaległy ulice, spiesząc powitać swych cierpiących i uciemiężonych braci: zawiodło ich oczekiwanie. Wieśniacy przybyli w liczbie 10,000 ale zamiast świecić nagotą byli ciepło a nawet dostatnio przyodziani; od kapeluszy ich powiewały trójkolorowe wstążki, godło Unii robotników. Szli rzeźko i żwawo a tęgie mi-

ny dowodziły że nie cierpieli głodu. Na czele licznego tego pocztu niesiono chorągiew, na której wypisane było złotemi literami: „Zasiewamy i uprawiamy zboże, a nie jemy chleba“ niby to wolny przekład Wirgiliuszowskiego „Sic vos non vobis.“ Widząc jak dziennikarze potężnie sobie z nich zadrwili, ulicznicy chcieli spłatać figla przybyszom i w tym celu zamierzali porwać im chorągiem, trzeba było patrzéć jak te „wynędznione cienie, ci biedacy wyniszczeni głodem, nie zdolni utrzymać rydla w ręku“ jak prędko i dzielnie zmusili do ucieczki wątłe dzieci miasta. Ta demonstracya zakończyła się jak zazwyczaj wszystkie podobne w Anglii: namyśliwszy się wieśniacy powrócili do swoich zajęć.

(*d. c. n.*)

KORESPONDENCYA Z PARYŻA.

O UBIORACH.

1 Marca 1879 roku.

Możnaby sądzić że po skończonym karnawale, nastąpiła w świecie mody chwilowa stagnacya; tak przecież nie jest: Paryż ten istny kameleon zmienia bezustanku barwy, i coraz to w nowéj przedstawia się postaci. W prawdzie za parę tygodni dopiero wielkie magazyny urządzą wystawy swych wiosennych towarów, wszakże i dziś już, niby jaskółki zwiastujące wiosnę, niektóre świeże tkaniny, dają się widzieć za oknami. Z wełnianych wyrobów uważaliśmy *Beige* w paski w dwóch odcieniach tegoż samego koloru, czy to popielatego, czy szarego. Mieszać go będą zazwyczaj z gładkim Beigem jaśniejszego odcieniu. Spódniczka będzie cała gładka w zaprasowane fałdy; polka do tego, lub kaftanik z baskiną w wązkie paski. Niekiedy znów przeciwnie, na spódniczkę w paski, pójdzie gładki kaftanik z takąż tuniką.

Spódniczki zaprasowane w fałdy stanowią najświeższą nowość. Widzimy je z sukienka lub kaszmiru do kostiumów przyjętych na ulicę, jak nie mniéj z materyi czarnéj lub ciemnéj, do strojniejszych kostiumów wizytowych. Oto szczegółowy opis podobnego ubrania:

Kostium składa się z czarnego indyjskiego kaszmiru, i czarnéj jedwabnéj materyi. Spódniczka jedwabna ma przód od góry do dołu zaprasowany w fałdy na dwa cale szerokie. Na to idzie kaszmirowa suknia *Princesse*, otwarta zupełnie na przodzie ogarnirowana pięknym galonem szmuklerskim. Boczne poły téj sukni szerokie zaledwie na łokieć, spadają do ziemi po obu stronach. W tyle poniżéj stanu, wychodzi z pomiędzy nich szeroki bryt jedwabny, tworzący dosyć długą powłokę, ogarnirowany u dołu dwoma plisowanemi wolancikami z takąż główką. Poły kaszmirowe łączą się z brytem jedwabnym, rzędem szmuklerskich guzików.

Stanik ma w górze odwinięte klapki; rękawy obcisłe zakończone u ręki plisowanym mankietem jedwabnym.

Inny kostium z kaszmiru w ciemnym kolorze szafirowo-zielonkowatym, (*vert dragon*), przeznaczony wyłącznie na ulicę, ma spodniczkę całą zaprasowaną w fałdy. Na to spada tunika także kaszmirowa spięta z lewego boku, i odkrywająca z téj strony całą spódniczkę. Na to idzie dosyć długi kaftanik, otwarty z przodu, spięty w stanie na dwa metalowe guziki. Z pod kaftanika wygląda jedwabna kamizelka w szafirowe i czarne paski, zapięta na guziki mniejszych rozmiarów. Spódniczka bez żadnéj powłoki, ledwie że dochodzi do ziemi.

Do ubrania małych dziewczynek, powszechnie téż przyjęte spódniczki w fałdy zaprasowane. Widzieliśmy śliczny taki kostiumek z kaszmiru szafirowego *bleu maria*. Na spód idzie fałdowana spódniczka; na wierzch znacznie krótsza sukieneczka *princesse* zapięta z przodu na guziki stalowe, z obu stron guzików naszyta aksamitka czarna. Kołnierzyk marynarski objęty zarówno aksamitką. W miejscu kolan, gdzie sukienka dochodzi do spódniczki, przeciągnięta szeroka szarfa kaszmirowa, związana z tyłu na węzeł, zakończona wązką frendzelką. Aby się szarfa nie zsuwała w górę, naszyte są po obu stronach klapki, pod które się podwłóczy.

Uważaliśmy w magazynach, sztuczki tkaniny wełnianéj na kostiumy wiosenne, w kolorach popielatym, szarym, oliwkowym i różnych płowych odcieniach; wyrób to miękki, lekki i układny. Kostium składa się ze spódnicy, zakończonéj plisowanym wolantem i z tuniki objętéj pasem, szerokim na ćwierć łokcia, zahaftowanym pelą. Haft ten bywa zazwyczaj tego koloru jak suknia, ale w ciemniejszym, lub téż jaśniejszym od niéj odcieniu. Miejsce stanika zastępuje kaftanik, objęty węższym szlaczkiem: z pod spodu wygląda kamizelka całkiem zahaftowana. Kostiumy te, wystawione w wielkim magazynie *du Louvre*, ściągają oczy wszystkich. Widzieliśmy téż inne, z podobnéj tkaniny, z wełnianym ciemniejszym szlakiem, przerabianym w arabeski.

Chusteczki z indyjskiego muszlinu, ogarnirowane bretońską koronką, zastępują do średniego ubrania miejsce kołnierzyków. Wielka w nich panuje rozmaitość, z każdym dniem pojawia się coś nowego. Najmodniejsze sięgają do stanu, niektóre spadają nawet niżéj. Na piersiach zdobi je trzy lub cztery kokardy, wpięte zręcznie pomiędzy koronki. Te kokardy robią z wązkiéj na cal wstążki atłasowéj, w trzech lub czterech, pomięszanych razem kolorach, blado niebieskim, blado różowym, i ciemno morderowym, (*caroubier*). Do większego ubrania wstążka bywa zazwyczaj biała; bukiecik z bzu lub hiacentów, przepina na piersiach chusteczkę.

Chusteczki do nosa na rano, używane powszechnie z białego indyjskiego fularu z kolorowym szlaczkiem w delikatnych odcieniach, obszyte wąziuchną koroneczną. Uważaliśmy też białe fularowe z pąsowym, lub niebieskim obrębkiem i odpowiednio haftowaną cyfrą. U innych obrębek w dwojakim kolorze: morderowy i ciemno szafirowy.

Woalki białe, jako zabezpieczające twarz od słońca marcowego zaczynają ukazywać się już na ulicy. Noszą je z białéj gazy *donna marya*, lub z gęstéj bardzo illuzyi, zwanéj *poudre de ris*.

O kapeluszach nic w téj chwili powiedziéć nie możemy, pierwsze modniarki przysposobiły wielki ich zapas na wiosnę i lato, ale dotąd starannie je chowają. Wiemy tylko z pewnego źródła, że pióra strósie, których tyle noszono podczas zimy, używane będą zarówno do wiosennych kapeluszy — tak okrągłych jak wiązanych pod brodę.

Nigdy jeszcze moda piór strósich, nie była tak upowszechnioną jak w tych czasach, mimo to cena ich dostępniejsza dziś, niż była kiedykolwiek. Przyczyną tego rozpowszechnienia jest zaprowadzona chodowla strósiów tak w Afryce jak w Australii. Wpadł nam właśnie w rękę raport towarzystwa aklimatacyjnego z kolonii angielskiéj Wiktorya.

Istnieją tam dwa zakłady, rozwinięte na wielką skalę. W każdym z nich urządzono odpowiednie budowle rozdzielone wewnątrz deskami. Każdy osobny kojec, mieści strósia i dwie strósice z gromadką małych piskląt.

Wylęganie odbywa się, bądź w naturalny, bądź w sztuczny sposób: ten ostatni wyborne wydaje rezultata. Przyrząd cały składa się z wielkiego stołu sosnowego: na każdym rogu pomieszczona skrzynka drewniana. Złożone w nią jaja, poobwijane w miękką flanelę, pozostają w miejscu sześć tygodni. Każda strósica znosi w przecięciu od 20 do 25 jaj rocznie. Małe lęgą się w czerwcu. Gdy wychodzą z jaja, trzeba im pomódz do rozbicia twardéj skorupy. Mają wtedy kolor jasno popielaty, który pomału przybiera szarą barwę. Przez dwa dni nic nie jedzą, trzeciego dnia dopiero dostają świeżą trawkę. Na noc pokrywają je tak zwaną sztuczną matką. Widzieliśmy na wystawie takie sztuczne matki dla kurcząt; są to ciepłe pierzynki, powleczone miękim aksamitem.

Podskubywanie piór rozpoczyna się w roku pierwszym. Pióra te dzielą się na kilka kategoryi; najwyżéj cenione z ogona i ze skrzydeł. Krótsze z pod szyi i piersi sprzedają się zwykle na wagę.

Dwa razy na rok podskubują strusiowe pióra. Samiec przynosi rocznie do 350 franków dochodu. Samica około 150.

Na szerszą jeszcze skalę rozwinięta chodowla na przylądku Dobréj Nadziei. Liczą w téj kolonii do 40,000 przyswojonych strósiów. Pióra ich zasypują Europę, a kolonistom przynoszą w zamian złoto.

Alger wziął się też skrzętnie do tego przemysłu, jak to widzieliśmy na paryzkiéj wystawie.

Od strósich piór, cenniejsze dziś nierównie pióra *Lophophoru*, prześlicznéj szmaragdowéj barwy. Widzimy je niekiedy na białych kapeluszach, pierwszych paryzkich elegantek. Nie wiemy czy ten indyjski ptak, pozwoli się tak jak stróś ułaskawić.

Afganistan.

(Dokończenie).

Państwo całe pod względem politycznym dzieli się na trzy główne części: Kaboulistan czyli Afganistan właściwy; Seistan albo Sedżestan, i terytorium Heratu. Dawno już temu, Afganistan wcielił do swych posiadłości pewną liczbę Chanatów na północ Hindu-Kuszu leżących, a mianowicie Maïmaneh, Bałkh, Khoulm, Kounduz, Budahchan i Wakhau. Karifistan, Souat i inne terytoria położone w części najbardziéj górzystéj ku północy, uważane są przez emira Kaboulu jako należące do jego państwa, ale na wpół dzikie, bałwochwalcze plemiona co je zamieszkują, w rzeczywistości zupełnie są niezależne.

Głównem miastem właściwego Afganistanu a razem stolicą całego państwa, jest Kaboul, położone nad rzeką tegoż nazwiska, na wysokości stóp przeszło 6,000 w bogatéj dolinie, otoczonéj najwspanialszemi i najbardziéj malowniczemi widokami i zachwycającemi miejscowościami. Ludność jego nie przechodzi 60,000 mieszkańców, a niejakie ożywienie nadaje mu handel z Indyami, Persyą i Turkestanem. Najznakomitszą budowlą jest Balka-Hissah, pałac emira; którego architektura wcale gustowna, stanowi rażącą sprzeczność z nędzą i brzydotą innych budowli. W stronie południowo-zachodniéj, w okolicy bardziéj jeszcze górzystéj, leży miasto Ghiznich, kolebka wsławionego rodu Ghiznewidów.

Inne miasta są: Istalif, otoczone sadami i bawełnianemi krzewami; Dżelalabad, niedaleko wąwozu Kheyberskiego; Gandaman, na pograniczu ciepłéj doliny Indusu i chłodnych krain górzystych; Bamian, wśród gór w wąziutkiéj dolinie: to ostatnie miasto jest jedném z najciekawszych na Wschodzie

mieszkańcy jego domów nie budują wcale, lecz żyją w jaskiniach w skale wykutych. Miasto Ghoulgoula podobnie przez takichże troglodytów jest zamieszkałe. Nieznaną jest epoka w której powstały te dwa szczególne miasta. Dziś mniéj są ludne aniżeli były dawniéj.

Ze wszystkich miast tego państwa, najznakomitszém było Kandahar, ludność jego wynosiła 100,000 mieszkańców, dziś aż o połowę się zmniejszyła. Farrahou-Farrah, miasto obronne nad jeziorem Hamoun, wiele ucierpiało od różnych zdobywców: Tamerlan zabrał je w roku 1384, Szach Abas w 1620, a Anglicy w 1839.

Seïstan, na południo-zachód położony, jest najmiéj urodzajną i najmniéj zdrową prowincyą Afganistanu: sądzą że główne jego miasto Dżelilabad jest starożytną *Protophtasia*, która niegdyś z Ispahanem rywalizowała.

Ziemia Heratu czyli Cherosan wschodni, zostający obecnie pod władzą Afganistanu, tworzył w pierwszych latach teraźniejszego wieku, państwo niezależne, ale które samo za wasala Persyi się uznawało. Stolica jego, Herat, (starożyna *Aria* lub *Ariopolis*, póżniéj *Aleksandrya*), liczy 100.000 mieszkańców. Jest to najważniejszy pukt strategiczny i handlowy na całéj płaskowyżynie Iranu. Jego obronne mury nie ochroniły go przed napadami wielu zdobywców. Przechodząc jakie razy ze dwadzieścia w różne ręce i dziś jeszcze stanowi ona przedmiot pożądliwości czasu wojny. Nadir-Szach który zdobył go w 1731 roku, tak się wyraził: „Korosan jest mieczem Persyi, ale kto posiada Herat trzyma jego rękojeść i może być panem świata!“

Miasto owe, główny punkt przejścia wielkich karawan Azyi środkowéj, będzie zapewne powołane do odegrania ważnéj roli w nieuniknioném starciu przyszłego współzawodnictwa.

Miasta główne części północnéj niedawno wcielonéj są: Maïmaeh (60,000 mieszkańców) Mezari-serif, wznoszący się na ruinach starożytnéj *Baktryany*; Khoulen i Faïżabad stolica Budahchanu.

Mówiliśmy już że ludność Afganistanu obliczają na 6 milionów, ale z tych zaledwo połowa jest rasy afgańskiéj.

Afganie, podzieleni na przeszło 400 klanów, składają dwie grupy główne: Afganów właściwych i Patanów. Sądząc po mowie, zdają się należyć do rodziny ludów Indo-Celtyckich. Wodzowie klanów jedni tylko mają bezpośrednią władzę nad nimi; władzy zaś centralnéj, emira, słuchają wtedy tylko, gdy od swych wodzów rozkaz na to otrzymali. Czyż z tego wnosić należy że owe klany mogą, podzieliwszy się, przechodzić na stronę tego lub owego zdobywcy? Oczywiście że nie. Jakkolwiek często są z sobą w niezgodzie, jedno uczucie mają wspólne i które je łączy: nienawiść chrześcian. To też nie można nigdy z pewnością liczyć na szczere przymierze z temi przewrotnemi i głęboko fanatycznemi plemionami.

Najliczniejsze po nich plemię zwane *Tadżik*, stanowi najpracowitszą część ludności uciemiężoną przez Afganów i Uzbeków; następnie plemiona *Dzat* i *Kfiar*, pierwsze rozrzucone po całym kraju, drugie skupione pod górami Kafristanu, nazwa ich oznacza niewiernych. Wymieniać nazwiska wszystkich innych plemion i klanów byłoby za długiém i zbytecznėm.

Na pytanie często obecnie napotykane: „Jaka jest siła armii Afgańskiéj?“ odpowiedzieć można, że według źródeł rossyjskich siły zbrojne wszystkich klanów liczyć należy na 160,000 ludzi, do których dodać można 100,000 bitnych górali z gór wschodnio-północnych. Co zaś do armii regularnéj, wymustrowanéj, emira, to ona z 50,000 ludzi się składa.

Ale nie ulega żadnéj wątpliwości, że wielka siła rządu afgańskiego nie polega bynajmniéj na ilości jego żołnierzy i ich męztwie, tylko na wyjątkowém położeniu i naturze całego kraju.

Przesmyki i wąwozy przecinające masy gór afgańskich są, odpowiednie punktom widzenia z których się na nie zapatrywać będziemy, albo wrotami Kaboulu, albo też bramami do Indyi wiodącemi. Można je bronić z garstką ludzi, przed niemi trzymać w szachu armie całe.

Trudne przejścia z Indyi do Kaboulu wiodące, oznaczone są powszechnie nazwą wąwozów Kyberskich, chociaż w rzeczywistości nazwisko to noszą tylko ciasne przesmyki ciągnące się z okolic Peszaweru aż do Daki, u wejścia na dolinę Dżelalabadu.

Prawdopodobnie kraj ten, równie jak Abissynia przed niewielu laty, ataków Angielskich wytrzymać nie zdoła. Nie ma nawet szczęścia miéć na czele swojém w téj krytycznéj dobie, człowieka wyższego jakim był Teodoros, którego fanatyzm i egzaltacya podwajały istotne zdolności, a tacy ludzie na Wschodzie, nieraz dokonywali dzieł zuchwałości niewypowiedzianéj.

Literatura peryodyczna.

Tygodnika Rolniczego wyszło dotąd osiem numerów, które zawierały w sobie artykuły już to oryginalnie napisane już ułożone z praktyki cudzoziemskich gospodarzy. Składały się one z większych i mniejszych rozpraw, a mianowicie:

O główniejszych brakach w naszem gospodarstwie wiejskiem, w którym głównie dotkniętą została kwestya kredytu rolnego, i urządzenia jego jak najdogodniejszego.

O ziarnie nasiennem jako głównym czynnikiem pomyślności plonu.

O liściach buraczanych i szkodliwości obrywania ich przedwczesnego.

O mierzwie pod ziemniaki i otrzymanych z nich porównawczych korzyści.

Uwagi nad zarazą w pszenicy.

Pogląd ogólny na rolnictwo w całéj Europie.

O zmianie paszy u bydła rogatego i następstwach z tego wynikających.

O mięknięciu kości u bydła i przyczynie téj choroby.

O pszenicy sandomierce z wyjaśnieniem jéj wymagań.

O białym łubinie w ziarnie i skutkach karmienia nim inwentarzy.

O dołowaniu kukurudzy i pożytku z niéj jako z wybornéj paszy.

O Egipskiem zbożu zwanem perłowem, z opisem sposobów jego uprawy i użyteczności.

O szkodliwości paszy zanieczyszczonéj przez gąsiennice zaczerpnięte z własnego doświadczenia.

Jałowiec, pożytki jakie daje i sposób jego uprawy.

Oclenie zboża w Niemczech z wyjaśnieniem wpływu tego na nasz handel zbożowy.

O pożeraniu prosiąt przez maciory ze zwróceniem uwagi, że nie żarłoczność jest tego powodem jako przeciwna tutaj naturze, ale inna przyczyna, zupełnie naturalna.

O zmarzniętych ziemniakach i ich użyteczności.

O zużytkowaniu kości z wielkim pożytkiem dla roli.

O chorobach gruntów ornych i sposobie ich leczenia.

O wełnach zamorskich i widokach dla naszych hodowców owiec bardzo pomyślnych.

O chrząszczyku grochowym i ziemniaczanym i próbach pomyślnych tępienia go.

O wpływie klimatu na wełnę.

O aparacie gorzelniczym ulepszonym i korzyściach jakie przynosi.

O wałowaniu roli i pożytkach jakie daje według świeżo przeprowadzonych doświadczeń.

O łupinach od jaj i sposobie ich zużytkowania.

O próbach z ziemniakami sadzonemi w całości i krajanemi, oraz z oberwaniem kwiatu z łodyg.

O plantacyach buraków z badaniem przyczyn ich upadania.

O nasionach służących do wyrabiania oleju, który pod postacią oliwy przychodzi do nas, i o sposobie ich uprawy u nas.

O odmianie nasienia do siewu i warunkowéj tylko z tego użyteczności.

O trzodzie chlewnéj i wyborze sztuk rozpłodowych.

O pożytkach gołębi jako tępicieli nasion różnych chwastów.

O sztucznych nawozach i ich zastosowaniu z praktyki gospodarczéj.

Saletra chilijska i jej zastosowanie.

O dołowaniu kukurudzy z pożykiem już praktykowanym.

O chorobie drobiu niezmiernie rozszerzonéj w Niemczech.

Oto jest treść wyszłych dotąd dziewięciu numerów Tygodnika Rolniczego. Podaliśmy je dla zwrócenia uwagi na Pismo, które nową zasilone pracą i rozwijane w lepszych warunkach i na zupełnie innych niż dotąd zasadach, ma się stać jednym z czynników pomocniczych, w trudnym i mozolnym zawodzie naszych Rolników. Pomoc jest tu niezbędną, współudział interesownych koniecznym, bo tylko łączeniem wszystkich sił pojedynczych dochodzi się do upragnionego celu i wytwarza potęgę często zdumiewającą a zawsze wielki niosącą pożytek. Tą drogą sąsiedzi nasi dalsi i bliżsi, we wszelkich rodzajach przemysłu dźwignęli się i ciągle dźwigają, a wielki rozwój pism rolniczych pomiędzy nimi najlepiéj przekonywa jakie mu nadają znaczenie.

Raczcie więc Szanowne Czytelniczki zwrócić uwagę kogo należy na niniejsze pobieżne sprawozdanie o Tygodniku rolniczym, aby praca około niego jeżeli ma jaką wartość, znalazła uznanie i rozpowszechnienie odpowiednie.

J. K. Gregorowicz
głównie kierujący redakcyą Tygodnika Rolniczego.

Rozwiązanie Szarady zamieszczonej w N. 9
Bia-ło-gło-wa.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 20 Февраля 1879 г. Redaktor J. K. Gregorowicz Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

PRZYSIĘGA LADY ADELAJDY.

PRZEZ

mistres Henry Wood

przekład z Angielskiego

(Ciąg dalszy).

— Pytałem się co znaczy ta ogłoszona nagroda?

— Ofiarowano, ją milordzie. Afisze były gotowe już wczoraj po południu, ale pan Lydney prosił aby porozlepiać je dopiero dziś rano. Kazałem je pomieszczać na murach i na wszystkich drzwiach od sklepów. Ta szkatułka musi mieć bardzo wielką wartość, skoro wyznaczono za nią tak wielką nagrodę.

— Ale któż ją wyznaczył? zapytał lord zadziwiony.

— Pan Lydney.

— Ostrzegam cię, Bent, zastanów się dobrze nad tém co czynisz. Nic łatwiejszego jak obiecywać największą nawet sumę pieniędzy; ale obiecać a zapłacić to rzecz całkiem odmienna. Temu Lydney'owi byłoby równie niepodobno wyliczyć pięćset funtów, jak np. Ben Beecher'owi.

— Powiedział mi szczerze, milordzie, że szkatułka nie jest jego własnością, i że pieniądze wyjdą z kieszeni jéj właściciela. Zobowiązał się dać nam pewne rękojmie że przyobiecana suma zostanie wypłaconą.

— Gdybyś go był chwycił za słowo, przekonałbyś się ile warte jego zobowiązanie. Czy przypominasz sobie, panie Bent, moje polecenie, abyś starał się koniecznie dowiedzieć kto może być ten człowiek i po co tu przybył?

— Tak, milordzie, i zadawałem mu w tym celu stosowne pytania, ale nie dowiedziałem się nic stanowczego. Powiedział mi że jest z pochodzenia Anglikiem, że należy do znanéj i szanowanéj powszechnie rodziny, i na tém się skończyły wszystkie jego objaśnienia. Kiedy zapytałem o powód jego bytności w tych stronach, odpowiedział mi że muszę zapewne wiedzieć o tém że go tu morze wyrzuciło, i że pozostanie dopóki nie odzyska swéj szkatułki. Wygląda na prawdziwego gentlemana, milordzie.

— Na gentlemana! powtórzył pogardliwie lord Dane. Słuchaj, panie Bent, ja także nie traciłem czasu, i dowiedziałem się o tym panu Lydney, o jego zamiarach i postępkach, więcéj zapewnie niż sobie życzy. Przypadek wprowadził mnie na trop, i szedłem za nim dopóki nie doprowadził mnie do celu.

Lord Dane powiedział to z jakąś miną tajemniczą a że jednocześnie zniżył głos, pan Bent przysunął się do niego.

— Zawiązał spółkę ze złodziejami zwierzyny. Śledziłem go wczoraj w lesie. Byli tam obydwaj z Benem Beecher i zmawiali się z sobą jak prawdziwi złodzieje. Wiem z pewnością że zeszli się tam już onegdaj, słowem co noc odbywają podobne schadzki.. I cóż teraz powiesz o tym twoim potomku znakomitéj rodziny, rozrzucającym tak szczodrze setki funtów?

— Czy to być może! zawołał inspektor. Może wypada pozdzierać ogłoszenia?

— To już ciebie tylko może obchodzić, panie Bent, odpowiedział lord dumnie, jakby nie uważał za właściwe dla siebie zajmować się tak drobnemi szczegółami, proszę cię tylko pamiętaj o tém, że to co ci powiedziałem masz zachować w tajemnicy. Postępując ostrożnie możemy dojść do pożądanego skutku. Pragnę uwolnić Danesheld od obecności tego pana, a działać jawnie byłoby to samo co ostrzegać go aby się miał na baczności. Chcąc go ztąd wygnać lub uwięzić, musimy mieć dowody że dopuścił się jakiegoś przestępstwa. Las należy do mnie, ale przecinające go drogi służą do publicznego użytku, i nie można aresztować kogoś za to że po nich spaceruje, choćby to czynił w złym zamiarze. Czekajmy więc i czuwajmy, a prędzéj czy późniéj złapiemy go na uczynku. Zrozumiałeś mnie?

— Jak najdokładniéj, milordzie.

Lord Dane wyszedł pozostawiając pana Bent w najgłębszéj niepewności co czynić daléj. Nie wiedział co ma o tém myśleć: z jednéj strony trudno mu było nie wierzyć lordowi Dane, ale z drugiéj znów, ten młodzieniec wyglądał na tak dystyngowanego gentlemana—a pan Bent uważał się za doskonałego znawcę—że się powstrzymał z wydaniem rozkazu zdjęcia ogłoszeń. Może będzie roztropniéj, pomyślał, pomówić z panem Lydney, przekonać się czy stosownie do obietnicy, przedstawi nam dostateczne rękojmie. Zgodnie z tém postanowieniem napisał bilecik do pana Lydney, z prośbą aby przyszedł do niego natychmiast.

William Lydney stawił się na jego żądanie, a tegoż samego dnia po południu zjawił się i poręczyciel na pewność wypłaty, w razie potrzeby pięciuset funtów. Tym poręczycielem był Ryszard Ravensbird.

Lord Dane dowiedziawszy się o tém, uważał sobie za obowiązek ostrzedz Ravensbird'a, pomimo że nie bardzo go lubił, a nawet czuł do niego trochę niechęci za jego zbyt swobodne, często nawet szorstkie odpowiedzi. Udał się więc do *Gospody Marynarzy* gdzie Ravensbird wprowadził go do saloniku Zofii.

„Przyszedłem tu aby pomówić z tobą o twoim interesie, rzekł lord Dane, siadając na krześle podanem mu przez dawnego sługę jego rodziny, który stał przed nim w pełnéj uszanowania postawie. Słyszałem że zaręczyłeś iż nagroda wyznaczona przez pana Lydney będzie przez niego wypłaconą; czy to prawda?

— Tak, milordzie.

— Czy zastanowiłeś się nad tém dobrze? Gdyby szkatułka znalazła się przypadkiem, mógłbyś być zmuszonym do zapłacenia téj sumy?

— Nie, milordzie, nie potrzebuję się tego obawiać pan Bent osądził że ostrożność nie zawadzi, i miał słuszność, ale ja pewny jestem że pan Lydney sam zapłaci, i poręczyłem tylko dla formy aby uczynić zadość życzeniu inspektora policyi.

— Strzeż się, powtarzam, możesz zapłacić za niego.

— Nie, milordzie. Pan Lydney pokazał mi dokumenta i papiery dowodzące że jest wypłacalnym.

— Jakie dokumenta?

— Akcye kolei żelaznych i obligacye. Zrazu miał zamiar złożyć je w policyi, ale późniéj zastanowił się że dość będzie abym ja zobaczył je i zaręczył za niego.

— Słuchaj, Ravensbird'zie, odezwał się przyjacielskim tonem lord Dane,—bo rzeczywiście chciał oddać mu przysługę,—przyszedłem tu po to jedynie aby ci dać dobrą radę; najlepiéj uczynisz jeżeli wycofasz swoje poręczenie dopóki czas jeszcze. Jest to wielka nieroztropność z twéj strony, ręczyć za człowiekiem zupełnie ci nieznanym.

— Ale; milordzie, widziałem sam te akcye i obligacye; miałem je w ręku.

— Gotów jestem zaręczyć za to że są fałszywe. Słuchaj,—ale niech to zostanie między nami, odkryłem że ten Lydney jest złym człowiekiem. Ma stosunki ze złodziejami zwierzyny, i bezwątpienia sam należy do ich liczby, słowem, jest awanturnikiem nie przebierającym w środkach, gdy idzie o zarobienie pieniędzy. Cofnij, powtarzam raz jeszcze, swoje poręczenie, nie tracąc chwili czasu, a następnie wygnaj jak najprędzéj tego Lydney'a z domu.

— Doprawdy, milordzie, niepodobna mi uczynić tego, dopóki zechce mieszkać u mnie, nie mam powodu wymagać aby się oddalił.

— Jakto, niepodobna?... alboż on ci płaci?

— Tak, i to najsumienniéj, najregularniéj.

— Pozbywając się tego człowieka, zobowiązałbyś mnie bardzo, rzekł lord Dane. Pobłażliwość dla podobnych hultajów byłaby bardzo naganną, i co do mnie nie okażę jéj nigdy, i nie rozumiem jak można wahać się gdy idzie o postąpienie z nimi jak na to zasługują: jeżeli ten nie zadłużył ci się, co mnie bardzo dziwi, to usuń go z domu pod jakim innym pozorem.

— Nie mogę przecie, milordzie, wyrzucić nikogo za drzwi, a tém więcéj gentlemana, dopóki prowadzi się u mnie przyzwoicie; i płaci mi sumiennie nic....

—Bezwątpienia, nie mógłbyś tak postąpić z gentlemanem, ale z oszustem możesz bez wahania, przerwał lord Dane. Ten człowiek wcisnął się tu do najporządniejszych domów, a—wiedząc o nim to czego się dowiedziałem,—czuję się poniekąd odpowiedzialnym za smutne następstwa, jakie to prędzéj czy późniéj musi pociągnąć za sobą. Czy możesz takiego człowieka pozostawić nadal pod swym dachem?

Ravensbird pokręcił głową, nie było na świecie upartszego jak on człowieka, kiedy raz wyrobił sobie o czém zdanie.

— Nie obchodzi mnie to wcale, milordzie, co pan Lydney czyni po za obrębem mojéj oberży, i komu oddaje wizyty; nie mam prawa tém się zajmować. Sam nie dostrzegłem w nim nic nagannego, a nikt dotąd nie skarżył się na jego postępowanie. Tu, w mojéj oberży, zachowuje się jak prawdziwy gentleman, uczciwy, spokojny i dobrze wychowany, tego mi tylko trzeba, i nie mam prawa wymagać więcéj. Żona moja przepada za nim.

— Idzie mi bardzo o to, abyś, co do tego zastosował się do mego życzenia, Ravensbir'dzie. Jesteś moim lokatorem i powinienbyś mi oddać tę przysługę.

— Rzeczywiście, milordzie, jestem lokatorem waszéj wielmożności, ale płacę dzierżawę, i jestem panem w moim domu. Wydzierżawiając *Gospodę Marynarzy* nie zobowiązałem się bynajmniéj do wyrzeczenia się własnéj woli. Byłbym bardzo szczęśliwym, gdybym mógł w jaki inny sposób oddać przysługę i dać dowód szacunku waszéj wielmożności, ale wyrzucić za drzwi człowieka nieszkodliwego (jak się mnie przynajmniéj przedstawia) uważam to za rzecz niepodobną do wykonania.

— Powiedz raczéj że nie chcesz tego uczynić.

— Niech i tak będzie, milordzie, powiem że nie chcę, skoro milord tak woli, odpowiedział Ravensbird, nie porzucając tonu pełnéj uszanowania grzeczności. Gdyby pan Lydney postąpił nagannie w mojéj oberży, oddaliłbym go z niéj natychmiast.

— Czy zapomniałeś, zawołał lord, rozgniewany nakoniec śmiałością odpowiedzi Ravensbird'a, czy zapomniałeś że mogę zerwać z tobą kontrakt, i wyrzucić cię z oberży po upływie sześciu tygodni.

— Nie, milordzie, nie zapomniałem, pomimo że nie mogłem nigdy zrozumiéć dla czego milord kazał zamieścić w kontrakcie podobny warunek.

— Narażasz się na to abym go wprowadził w wykonanie.

— Wolno waszéj wielmożności postąpić jak uzna za właściwe.

Ravensbird był ciągle równie spokojnym jak zwykle, obstawał niezłomnie przy swojém zdaniu, nie ustąpił ani na krok, i patrzył śmiało w oczy lorda Dane.

— Przykroby mi było, dodał, wyprowadzić się z téj oberży, bo mi jest dogodną; ale, w ostatnim razie, są jeszcze inne w Danesheldzie.

Lord Dane wstał i zwrócił się ku drzwiom.

— Ravensbird'zie, rzekł wychodząc, nie jestem zadowolniony z mojéj bytności u ciebie. Kiedy pomyślę że byłeś kiedyś naszym sługą, dziwi mnie że nie czułeś się obowiązanym postąpić inaczéj.

— Blada zawsze twarz Ravensbird'a pokryła się silnym rumieńcem.

— Wybacz, milordzie, byłem służącym kapitana Dane, ale nie pana Herberta.

Lord Dane poszedł daléj, z dumną miną, nie zwracając pozornie uwagi na te zuchwałe słowa; Ravensbird odprowadził go z uszanowaniem aż do drzwi.

Jednocześnie wszedł służący doktora z flaszeczką w ręku.

„Dla pana Home, powiedział, oddając ją Ravensbird'owi.

— To nazwisko przypomniało lordowi Dane drugiego pasażera z rozbitego okrętu.

— Więc pan Home jest tu jeszcze? zapytał Ravensbird'a.

— Tak, milordzie. Zły stan zdrowia nie dozwolił mu dotąd wyjechać, i musieliśmy nawet wezwać do niego doktora Gren. Prócz tego, mówił że czeka na jakieś weksle.

Lord Dane oddalił się nie pytając o nic więcéj.

Rozdział VIII.

Tiffle zaprzysięga zemstę.

Upłynęło parę tygodni nie przynosząc żadnéj zmiany w Danesheldzie. Nadszedł październik. Obwieszczenia obiecujące nagrodę pięciuset funtów, były ciągle porozlepiane w najwidoczniejszych miejscach, ale nikt już nie zwracał na nie uwagi. Zdawało się że szkatułka została straconą bezpowrotnie, a nawet pan Bent zaczął niekiedy podzielać zdanie lorda Dane, że Lydney znalazł ją dawno i nie przyznaje się do tego.

W lasach lorda Dane popełniano coraz zuchwalsze kradzieże. Złodzieje podchodzili czujność leśnéj straży i co noc zabijali tuziny sztuk zwierzyny. Możnaby sądzić że nie spo tykają żadnéj przeszkody; a nawet ludzie złośliwi utrzymywali że strażnicy starają się zawsze stawać na czatach w takiém miejscu gdzie nie mogli spotkać nikogo, że unikali starannie walki, że dziesięć lat spokojnego życia w czasie nieobecności lorda, uczyniło ich lękliwymi.

Lord Dane rozdrażniony temi pogłoskami, niezadowolniony ze swych strażników, zaczynał już tracić cierpliwość. Byłby także ofiarował chętnie pięćset funtów nagrody, temu, ktoby mu dopomógł do pochwycenia razem wszystkich amatorów jego zwierzyny, zwłaszcza też gdyby Lydnéy znajdował się w ich liczbie.

Ale jak tu wystąpić przeciwko temu niegodziwcowi? Pomimo rozciągnięcia nad nim najściślejszego dozoru, nic mu dotąd nie można było zarzucić. Lord Dane wiedział o tém dobrze że bardzo często spacerował wieczorami po lesie, najczęściéj w towarzystwie Wilfrida Lester, że nie raz rozmawiał ze złodziejami zwierzyny, ale nie stanowiło to przestępstwa za któreby można kogoś aresztować.

Co do Wilfrida, niestety! powiedziéć musimy, że nie więcéj zważał na przepisy prawa jak Ben Beecher lub Nicholson. Duszę jego owładnęła rozpacz, serce przepełnione było goryczą i szalonym gniewem za niesprawiedliwość wyrządzoną mu przez ojca i tolerowaną przez wszystkich w ogóle.

Squir Lester odpisując na list pana Apperly, oznajmił stanowczo że mu nie pokaże aktu darowizny na rzecz Wilfrida. „Pieniądze oddałem już dawno synowi, odpowiedział, a zatém najdokładniejsza znajomość aktu na nic zdać mu się nie może.“ Nieszczęściem dla Wilfrida adwokat był zmuszony wyjechać na czas jakiś do Francyi. za interesem jednego ze swych klientów, a ta przeciwność obok tylu innych prawie do szału doprowadziła biednego Wilfrida Lester. Prócz niego jeszcze ktoś inny był bardzo niezadowolniony z nieobecności pana Apperly. William Lydney oczekiwał niecierpliwie jego powrotu, zdecydował się nakoniec zasięgnąć jego rady, co do środków jakie należało przedsięwziąść dla odzyskania szkatułki, ale kiedy zgłosił się do niego, powiedziano mu że właśnie poprzedzającego dnia wyjechał za granicę.

Od pewnego czasu bieda nie tak bardzo dawała się we znaki w domu Wilfrida Lester. Sally napisała do jednego ze swych krewnych mieszkających w okolicy, którego nazywała przybranym wujem, i ten przysłał jéj trochę pieniędzy, prócz tego za pomocą próśb i obietnic tyle dokazała że niektórzy z kupców obiecali jéj dawać na kredyt. „Ale cóż zrobimy kiedy przyjdzie zapłacić wszystkie rachunki?“ myślała pani Lester zalewając się łzami. Co do Wilfrida, ten zapatrywał się na przyszłość z obojętnością wyradzającą się często z rozpaczy, i niby go to nie obchodziło gdyby Sally zaciągnęła w jego imieniu dług wynoszący kilkaset funtów. Wszystko mu było obojętne, jedna myśl prześladowała go ciągle, bez przerwy, myśl o tym zapisie którego ojciec nie dozwalał mu przeczytać; był przekonanym że w tym akcie znalazłby korzystne dla siebie dowody, i że ojciec dla tego właśnie nie chciał go pokazać. Nie raz z ust jego wysuwały się klątwy, pogróżki, przysięgał że jakimbądź sposobem ten papier musi dostać się w jego ręce.

Z każdym dniem stosunki pana Lydney z mieszkańcami Danesheldu stawały się oziębléjsze i sztywniejsze; nie dla tego aby lord Dane rozgłosił swoje przeciwko niemu podejrzenia, ale że współczucie dla młodego cudzoziemca, tak żywe w pierwszéj chwili ostygło zwolna zaczęto się zastanawiać, i dostrzeżono że nie udziela żadnych objaśnień ani co do siebie, ani co do swéj rodziny. Najznakomitsi mieszkańcy, którzy otworzyli mu gościnnie drzwi swoje, zaczęli podziwiać to milczenie. Zdawało się że w miarę jak bliżéj zapoznawał się z nimi, wzmagała się jego ostrożność i niechęć dostarczenia jakichś objaśnień odnoszących się do jego osoby. Zawsze spokojny, umiał zręcznie unikać odpowiedzi na wszelkie dotyczące téj kwestyi, choćby najwyraźniejsze pytania. Nie byłoż to rzeczą dziwną, że ten młody człowiek znalazłszy wstęp do najpierwszych domów, nie powiedział nigdy słowa tak o sobie jak o swéj rodzinie i o swém położeniu w społeczeństwie? Kimże on był? z czego się utrzymywał? zkąd przybył i co nadal czynić zamierzał? Nie mógł przecie pozostać na zawsze w Danesheldzie, u Ravensbird'a pod pozorem że czeka na jakąś niby zaginioną szkatułkę.

Jeżeli mówiono o panu Lydney w obecności lorda Dane, jego wielmożność podnosił dumnie głowę ruchem właściwym Dane'om, a pogardliwy uśmiech przesuwał się po jego ustach, co z dodatkiem widocznego unikania pana Lydney, było dostatecznėm do zwrócenia przeciwko niemu opinii publicznéj.

Pan Lydney, jak się zdawało, znał te nieprzychylne dla siebie uczucia, ale nie czynił nic aby je przezwyciężyć. Stopniowo przestał bywać u wszystkich zamieniając tylko z nimi ukłony w razie spotkania się na ulicy. U jednéj tylko miss Bordillion bywał równie często jak dawniéj, odwiedzał także Wilfrida Lester, a w Danesheld Hall bywał jeszcze, ale bardzo rzadko. Lord Dane nie śmiał występować przeciwko niemu otwarcie, oczekiwał jawnych dowodów winy.

W parę tygodni później mieszkańcy Danesheldu przebudziwszy się w piękny poranek październikowy, dowiedzieli się przerażającéj wiadomości. Przyszło nakoniec do utarczki między złodziejami zwierzyny i leśną strażą. Zdawało się że nieszczęście ściga tych nieszczęśliwych strażników, zostali odparci ze stratą, jeden z nich został raniony wystrzałem z fuzyi, a złodzieje leśni uszli cało. Lord Dane nie posiadał się z gniewu, przysiągł że tego nie daruje, i wszyscy w Danesheldzie byli przekonani że przed wieczorem jeszcze winowajcy zostaną aresztowani.

Biedna Marya Lester! Posłyszała przechodząc kilka słów z opowiadania Elizy Tiffle, i obawa jéj o brata wzmogła się znowu. Drżąca, przerażona, niespokojna, spodziewała się co chwila usłyszéć straszną wiadomość. W końcu, nie mogąc dłużej znieść téj zabijającéj niepewności, postanowiła udać się do Danesheld w nadziei że tam uda jéj się zasięgnąć pewnych wiadomości. Znalazła jakiś pozór do téj wycieczki, i aby stanąć prędzéj poszła przez las, wązką, ale bardzo uczęszczaną w ciągu dnia drogą.

Przyśpieszyła kroku, nie domyślając się wcale że za nią idzie Tiffle, która miała także jakiś interes do Danesheldu, i korzystając z téj sposobności chciała rozciągnąć dozór nad Maryą. Miss Lester dochodziła do łączki w lesie, kiedy ujrzała pana Lydney idącego bardzo śpiesznie z przeciwnéj strony. Pod wpływem pierwszego wrażenia pośpieszyła ku niemu. Widząc ją tak zaniepokojoną i wzruszoną ujął ją za rękę i starał się uspokoić.

Wiedzieli już oboje, choć nie wyznali sobie tego

nigdy, że szczera życzliwość którą uczuli do siebie zaraz przy pierwszém spotkaniu na skalistém wybrzeżu, zamieniła się już w miłość gorącą, namiętną. Jednak to nie miłość lecz obawa była powodem tego że głos Maryi drżał tak silnie, kiedy zaczęła mówić o wypadkach ubiegłéj nocy.

„To pierwsza wiadomość, którą usłyszałem dziś rano rzekł z uśmiechem nie puszczając jéj ręki.

— Czy... mówiono panu,... była tak zmieszana że słowa zamierały jéj na ustach—kto tam był?.... czy... czy wymieniono... jakie nazwisko?

— Nie. Krążą o tym wypadku różne wieści, jak zazwyczaj w podobnym razie, ale zdaje mi się że tym ladaco i teraz posłużyło szczęście, i że uciekli nie będąc poznani. Sam widziałem jak jeden z nich wyśliznął się z lasu około pierwszéj w nocy, ale cóż mnie to obchodzi.—Wracałem właśnie od brata pani z którym przepędziłem cały wieczór.

Twarz Maryi przybrała nagle inny wyraz. Biedna dziewczyna słuchała go ze drżeniem, z uchylonemi ustami, jakby jéj tchu brakowało; teraz dopiero odetchnęła całą piersią.

— Nie wiem doprawdy co na to powie pani Lester, i czy mi to przebaczy że bawiłem do tak późnéj godziny u jéj męża, mówił daléj Lydney, jakby nie widział radości Maryi. Teraz idę do kotażu z tą książką, którą przyrzekłem dziś przynieść Wilfridowi.

Mówiąc to wyciągnął do połowy z kieszeni małą książkę, jakby chciał upewnić Maryę że jéj nie zwodzi.

— A więc to prawda! zawołała niezdolna ukrywać dłużéj miotających nią uczuć. Nie powiedziałeś pan tego tylko dla uspokojenia mnie? Przepędziłeś pan rzeczywiście cały wieczór z Wilfridem?

— Nie powiedziałem ci jeszcze nigdy nieprawdy, miss Maryo, rzekł ściskając jéj rękę. Tak, nie masz się czego obawiać. Byłem wczoraj u Wilfrida, i przy rozmowie czas przeszedł nam tak prędko że wyszedłem dopiero po dwunastéj.

Marya wiedziała że utarczka ze strażnikami nastąpiła o pół do dwunastéj.

— Jakże pan jesteś dobrym! powiedziała.

— Za cóż ja jestem dobrym? rzekł z uśmiechem. Czy za to co pani powiedziałem, czy też za to że tak długo nie dałem spać Wilfridowi, i naraziłem się może przez to na gniew pani Lester?

— O! pan zawsze jesteś dobrym! zawołała z rozpromienioną twarzą, i oczyma błyszczącemi jak gwiazdy, pomimo łez przyćmiewających jéj źrenice, gdyby nie pan...

Pan Lydney podniósł z żywością rękę, jakby jéj zalecał ostrożność, i Marya obejrzała się dokoła, z wyrazem zadziwienia.

Lydney obrócił się nagle, poskoczył i stanął tuż przy Shadzie, który przycisnąwszy się do grubego drzewa przysłuchiwał się ich rozmowie. Uchwycił go jedną ręką za włosy, drugą za ramię i wyciągnął na drogę, pomimo że wrzeszczał jak oparzony.

Marya pożegnała pana Lydney i poszła daléj, nie troszcząc się o Shada.

Chłopak krzyczał ze złości, bronił się rękami i nogami, kręcił się, pienił. ale pan Lydney nie zważając na to trzymał go ciągle. Tiffle ukazała się nagle na scenie.

„Co się tu dzieje! zawołała jakby nie domyślając się niczego, jak żyję nie słyszałam tak strasznego hałasu. Można by sądzić że jakie zwierzę wydobyło się z menażeryi. Któż to taki? Zdaje się, że to Shad matki Bean.

— Zabija mnie!... Chce zadusić!.... Rozszarpuje mnie! jęczał Shad; powiedz mu niech mnie puści!

— Zechciéj go pan puścić, jeżeli łaska, odezwała się Tiffle. Jestem pewna że pan, jako prawdziwy gentleman nie mógłbyś bić biednego bezbronnego chłopca.

— O! żałuję bardzo że nie mam przy sobie laski, byłbym cię nią przetrzepał niegodziwy hultaju. Ale pamiętaj, mości Shad: jeżeli dostrzegnę jeszcze kiedy że szpiegujesz mnie lub miss Lester, możesz być pewnym że cię tego oduczę na zawsze. Mistress Tiffle przyszła tu także w samą porę, dodał puszczając chłopca.

— Aby panu nie dozwolić go obić? zapytała.

— Nie, ale żebyś była świadkiem méj obietnicy. Jeżeli ten niegodziwy chłopak poważy się szpiegować mnie jeszcze, będzie miał ze mną do czynienia, pomimo że to dla twojéj dogodności kształci się w tém szlachetném rzemiośle; radzę więc zastanowić się dobrze zanim wydasz rozkaz szpiegowania.

— O! zawołała Tiffle, udając oburzenie, jakież to okropności pan mi zarzuca? Ja, każę mu szpiegować ludzi? Cóż ja z nim mam wspólnego? Czy to ja jestem ajentem policyjnym?

— Jesteś z nim bliżéj i serdeczniéj, niż to sądzą ogólnie, o ile mi się zdaje, odpowiedział pan Lydney głosem zniżonym ale z przyciskiem. Teraz kiedy cię ostrzegłem, każ mu jeszcze szpiegować mnie, jeżeli chcesz.

Tiffle to czerwieniła się, to bladła naprzemian, a kiedy odwrócił się i odszedł, pokazała mu pięść w uniesieniu bezsilnéj złości.

— O! przysięgam, syknęła, że zemszczę się na tobie, nędzniku..

— A ja wskażę dobry na to sposób, zawołał Shad. Widziałem go dzisiejszéj nocy zaraz po napaści na strażników. Zdaje mi się że należał do niéj.

— Gdzie go widziałeś?

— Wychodził od Wilfrida Lester. Widziałem go na własne oczy. Było już zapewne koło pierwszéj. Zapewne po bitwie odpoczywał w kotażu.

— Czy widziałeś także Wilfrida Lester? Czy był w lesie wraz z innymi?

— Nie, nie widziałem go, ale pewny jestem że tam był. Nie mogłem widzieć wszystkich, może Lester był raniony i ten drugi odprowadził go.... W każdym razie mogę na to przysiądz że wychodził z kotażu kiedy pierwsza wybiła; i to także wiem z pewnością że Lester nie wychodził jeszcze dziś z domu.

Tiffle wydała nowe instrukcye Shadowi, i wrząca tłumioną wściekłością poszła daléj drogą wiodącą do Danesheldu.

Wychodząc z jakiegoś sklepu, spostrzegła lorda Dane po drugiéj stronie ulicy, i bez wahania zbliżyła się do niego.

„A! dzień dobry, Tiffle... jakże się miewasz? rzekł lord Dane ze zwykłą sobie wesołością, chociaż zadziwiło go trochę że ta kobieta tak bez ceremonii zastępuje mu drogę.

— Nie bardzo dobrze, milordzie, ale czy może być inaczéj słysząc tak straszne rzeczy jakie opowiadają mi w każdym sklepie!... Niech milord zechce mi wybaczyć że śmiem zapytać, czy to prawda że jeden z nieszczęśliwych strażników został prawie rozpłatany na dwoje.

— No! jest w tém trochę przesady, odrzekł lord Dane, usiłując powstrzymać się od śmiechu; został silnie raniony w głowę, a już i tego dosyć. A! dałbym wiele za to gdyby przytrzymano hultaja który go zranił.

— Milordzie, odezwała się Tiffle zniżonym głosem, i oglądając się dokoła czy ktoś jéj nie usłyszy, osoba wiarogodna, któréj nazwiska nie mogę wymienić, widziała tego Lydney'a o pierwszéj w nocy wychodzącego od Wilfrida Lester. Taż sama osoba sądzi że pan Wilfrid był także w lesie, że został ranionym, i że tamten odniósł go do domu. Gdyby wasza wielmożność zechciał postarać się o to aby ten Lydney został skazany na deportacyę, byłaby to nieoceniona przysługa dla wielu mieszkańców Danesheldu, nie wyłączając miss Lester.

— Dla czego wymieniasz miss Lester? zapytał lord dumnie.

— Bo mam do tego słuszne powody. Miss Lester dozwoliła mu się opanować, tak, opanować, milordzie. I teraz, przed chwilą, spotkałam ich razem w lesie. Miss Lester szła przedemną, ja przez uszanowanie trzymałam się w pewnéj odległości, kiedy on nadszedł bujając się lekko. Ten Lydney ma chód bujający się lekko i miarowo, zuchwały i pyszny jak on sam; takiego ruchu nie zdarzyło mi się widzieć u nikogo, prócz Dane'ów. Co milord powie na to, że uchwycił jéj ręce i trzymał w swoich, jak gdyby był jéj... narzeczonym.

Twarz lorda zasępiła się widocznie. Tiffle zatrzymała się chwilę aby zapuszczony przez nią jad miał czas rozpocząć swoje działanie; po tém dodała odchodząc:

— Mówią że pan Wilfrid nie wychodził dziś wcale z domu. Nie ma w tém nic dziwnego jeżeli rzeczewiście został ranionym.

Lord Dane oddalił się szybko. Słowa téj kobiety rozdrażniły go bardzo, przynajmniéj o ile dotyczyły miss Lester. Nie dla tego aby sądził że, według wyrażenia Tiffle, Marya „dozwoliła się opanować“ Lydney'owi, lecz że uważał to za rzecz całkiem niewłaściwą dla niéj, aby zatrzymywała się na drodze i rozmawiała z podobnym człowiekiem.

Lord Dane tak był od pewnego czasu rozdrażniony zuchwałością złodziei zwierzyny i niepowodzeniem strażników, że nie oświadczył się dotąd Maryi. Jakkolwiek pan Lester upoważnił go do tego. Dziś jednak, po rozmowie z Tiffle, postanowił nie zwlekać ani chwili dłużéj, i udał się drogą wiodącą do Hall, gdzie też spotkał wracającą Maryę, już nie daleko domu. Przywitał ją z uśmiechem, uścisnął podaną mu rękę i szedł daléj obok niéj, i po chwili nagle bez przygotowania, zapytał jéj czy chce zostać jego żoną?

Marya zmieszana, wzruszona, wyszeptała nieśmiało „nie“. Lubiła szczerze lorda Dane, miała dla niego wiele przyjaźni, i ubolewała nad tém że mu sprawia przykrość.

— Dla czego mnie odpychasz? rzekł smutnie.

— Dla tego jedynie że nie kocham pana tyle abym mogła zostać pana żoną, odpowiedziała zarumieniona,

— A! nie potrzebnie się pośpieszyłem, rzekł cicho jakby do siebie... A więc, Maryo, pozostawmy rzeczy jeszcze tak jak są obecnie, na czas jakiś. Będę się starał pozyskać twoje serce; sprobuję przynajmniéj. Czy widziałaś się dziś z bratem, miss Maryo? Czy jest zdrów?

— Spotkałam właśnie ich służącą Sally, w Danesheldzie, powiedziała mi że on i Edyta są zdrowi, odpowiedziała z roztargnieniem, jak gdyby myśl jéj była zajęta czém inném.

— Więc to nie prawda że został ranionym.

Spojrzała na niego z zadziwieniem. Lord Dane spostrzegł swoją niezręczność.

— Coś mi o tém mówiono; ale sądzę że to musi być fałszywa pogłoska.

— A ja jestem tego pewną, odpowiedziała z żywością, pan Lydney mówił mi że wczoraj przez cały wieczór był u niego, i wyszedł dopiero około pierwszéj w nocy.

— Wierzę, i nawet nie widzę w tém nic dziwnego, że tak długo rozmawiali z sobą, odrzekł lord pogardliwie. Swój swego szuka! Nie chciałbym jednak porównywać Wilfrida, pomimo wszelkich jego szaleństw i przewinień, z podobnym człowiekiem jak pan Lydney.

— Pan Lydney jest gentlemanem, odpowiedziała Marya cicho ale z żywością.

— Pozwól, miss Lester, zadać sobie jedno pytanie. Jaki masz na to dowód, prócz jego własnego zapewnienia?

Cóż mogła na to odpowiedzićć? Szła też daléj w milczeniu, z głową lekko w tył odrzuconą, z wyrazem oburzenia na twarzy, z gniewem w sercu.

Lord Dane zaczął wtenczas mówić o Lydney'u w taki w sposób jaki dotąd nie ośmielił się wyrażać; uwiadomił ją o swych podejrzeniach stwierdzonych następnie faktami, o jego schadzkach w lesie i naradach z Benem Beecher. Marya słuchała go milcząc; wszystkie te słowa przelatały koło jéj uszu, nie naruszając jéj wiary w tego któremu oddała serce. Prędzéj niżeli o nim, zwątpiłaby o całym świecie.

„Pan Lydney powiedział mi kiedyś że dla wynalezienia swéj szkatułki, musiał zabrać znajomość z ludźmi używającymi bardzo złéj opinii, i sam śmiał się z tego.

— Rzeczywiście, bardzo prawdopodobne i zręczne tłomaczenie! odpowiedział lord Dane szyderczym tonem.

W téj chwili spostrzegli zdaleka Williama Lester, idącego bardzo prędko, który nie życząc sobie, jak widać, spotkać się z nimi, przeskoczył lekko i zwinnie przez płot, i zniknął wkrótce w lesie.

Z pewnością nie zdołałby tego dokonać człowiek raniony przed kilku godzinami.

Marya spojrzała na lorda Dane:

„Tak, tak,... widzę że przynajmniéj ta pogłoska była mylną. Może mógłbym się wystarać dla niego jakąś rządewą posadę, dodał półgłosem jakby mówił do siebie, niektóre z nich wymagają niewielkiéj pracy a dają dostateczne utrzymanie: trzysta, nawet pięćset funtów. Zdaje się że byłoby lepiéj gdyby opuścił Danesheld.

O! tak, byłoby to rzeczą upragnioną aby Wilfrid mógł zmienić swoje obecne życie, życie ściągające na niego niesławę, życie pełne niebezpieczeństw i nędzy, życie zatruwające spokój Maryi, na życie uczciwe i dostatnie.

— A! milordzie, wszak się tém zajmiesz, wszak pomyślisz o polepszeniu jego losu? zawołała Marya podchodząc ku niemu oczami błyszczącemi nadzieją.

— Najchętniéj, pod warunkiem że pani, miss Lester, zechcesz także pomyśléć o mojém szczęściu.

Powiedział te słowa nie zastanowiwszy się nad ich znaczeniem. Trzeba mu oddać tę sprawiedliwość że byłby niezdolnym do podobnéj niedelikatności; dopiero nagła bladość pokrywająca twarz Maryi ostrzegła go jak przykre zrobiły na niéj wrażenie, i że mogła fałszywie wytłomaczyć je sobie.

„Żartowałem tylko, miss Maryo, co do Wilfrida, będę się starał wyszukać mu jakąś posadę, tylko na nieszczęście, trzeba niekiedy czekać bardzo długo, zanim się znajdzie coś dobrego.

Weszli do Hall. Lady Adelajda była sama tylko w salonie. Lord Dane kazał się oznajmić, a Marya pobiegła do swego pokoju. Potrzebowała samotności. Nie ma młodéj dziewczyny któraby mogła odebrać oświadczenie bez pewnego zmieszania i wzruszenia, a jakkolwiek Marya wiedziała, już od pewnego czasu o zamiarach lorda Dane, obawiała się zawsze téj chwili. Korzystała z każdéj sposobności aby go zniechęcić, sądząc że ją zrozumie i odstąpi od swego postanowienia. Nie zniechęcił się niestety a Marya w téj chwili dopiero zrozumiała powód swéj niechęci i obawy, serce jéj należało już wyłącznie do Williama Lydney, i nigdy już do nikogo innego należéć nie mogło.

Zatrwożyła się. Kimże był ten człowiek którego pokochała wszystkiemi siłami swéj duszy, jeżeli nie cudzoziemcem nikomu nie znanym, wyrzuconym przez burzę na te brzegi, obudzającym wszystkich jakąś nieufność?

Lady Adelajda leżała na kanapie z przymrużonemi oczyma, jakby pogrążona w marzeniu. Cała jéj postawa zdradzała że jest do najwyższego stopnia znudzoną. Przestraszyła się i zadrżała gdy się drzwi otworzyły, i podniosła się zarumieniona aby powitać lorda Dane.

„Tak, rzeczywiście, nie wiem czemu opanował mnie dziś jakiś niewypowiedziany smutek, rzekła odpowiadając na jakąś uwagę lorda. Zdaje mi się doprawdy że zasnęłam po odejściu pana Lydney.

Lord Dane milczał przez chwilę zdumiony. Jakto! więc on jeszcze bywał w Hall!

— Sądziłem... Zdawało mi się, że nie przyjmujesz go już u siebie, lady Adelajdo.

— O! przyszedł tu tylko za interesem, odpowiedziała obojętnie, mówił, o ile mi się zdaje o jakimś dokumencie amerykańskim który potrzebował być zlegalizowanym przez tutejszego urzędnika. Widujemy go teraz bardzo rzadko.

— Nie ma czego żałować. Człowiek obcy, którego przeszłość jest tu dla wszystkich zagadką, nie może wzbudzać zaufania, lady Adelajdo.

— Prawda, a on właśnie znajduje się w tém położeniu. Podobało mi się tylko w nim jego podobieństwo z Dane'ami.

— Podobieństwo z Dane'ami! powtórzył lord z oburzeniem.

— Tak, to podobieństwo istnieje rzeczywiście, równie w rysach twarzy jak i w całéj postawie. Czy to nigdy nie zwróciło twojéj uwagi, milordzie? Przypomina mi zarazem ciotkę i wuja, a prócz tego ale daleko mniéj—Harrego Dane.

Zawahała się przed wymówieniem tego ostatniego nazwiska; lord Dane nic już nie odpowiedział tylko zbliżywszy się do okna zaczął wyglądać przez nie.

Pomimo że już tyle upłynęło czasu, imię Harrego budziło w nim wspomnienia bolesne, i prawie równie przykre jak obstawanie lady Adelajdy przy tém podobieństwie, którego zresztą sam nie dostrzegł nigdy.

Rozdział IX.

Lord Dane w ruinach kaplicy.

W ciemną noc listopadową trzech ludzi prowadziło z sobą tajemniczą rozmowę; sądzili że są tylko sami: mylili się—Shad leżący jak wąż na ziemi przysłuchiwał się natężając słuch....; przysłuchiwał się i włosy powstawały mu na głowie. Nie szło już teraz o napaść na bażanty lorda Dane, ale o najstraszniejszą kradzież jaka kiedykolwiek mogła być popełniona. Shad był przerażony nietylko tém co słyszał, ale i niebezpieczeństwem grożącém jemu samemu. Nie wątpił ani na chwilę, że gdyby jakiś nieprzewidziany wypadek zdradził jego obecność, zostałby rozszarpany kulami, i przestrach nie dozwolił mu dosłyszéć wielu szczegółów téj zmowy, tém więcéj że ci ludzie mówili cicho. Szło o gwałtowne wdarcie się do jakiegoś domu i zabranie sreber. Shad domyślił się nakoniec że mowiono o zamku Dane, ale że nie oznaczono jeszcze któréj te miało nastąpić nocy.

Czekał dopóki ci ludzie się nie rozeszli, i dopiero kiedy nie słyszał już odgłosu ich kroków, zerwał się i biegł o ile mu sił starczyło, aż do miejsca w którém spotykał Tiffle co wieczór. Nie zastał nikogo, zapewne znudziła się czekać na niego. Nie wiedział co ma czynić, nie śmiał się zbliżyć do domu pana Lester, bo Tiffle zabroniła mu tego surowo, a jednak chciał jak najprędzéj uwiadomić ją o tém wszystkiém. Odważył się w końcu zbliżyć do drzwi bocznych, przeznaczonych dla służby, i oznajmił nieśmiało, ze spuszczonemi oczyma, że chciałby się widzieć z mistress Tiffle.

„Jakto! zawołała Tiffie z wybuchem cnotliwego oburzenia, kiedy doniesiono jéj o tém, Shad matki Bean pyta się o mnie!.., To musi być jakaś pomyłka.

Wyszła jednak mrucząc ciągle, i jak tylko zbliżyła się do Shada zaczęła go łajać.

„Otóż to, mistress Tiffle zaczynasz mnie łajać nie wiedząc jeszcze gdzie byłem i zkąd przychodzę, rzekł odsuwając się od niéj pozornie. Dziś mówili o morderstwie które zamierzają popełnić... Aż spociłem się ze strachu.

— Popełnić morderstwo! powtórzyła Tiffle.

— Tak, chcą wedrzéć się w nocy do pałacu, zamordować lorda Dane i ukraść srebra. Było ich tam trzech, Drake, Ben Beecher i Nicholson. Odkąd się ściemniło leżałem nosem do ziemi, przysłuchując się i nie śmiejąc nawet odetchnąć. Z pewnością chcą dopuścić się morderstwa.

Tiffle nie wiedziała co ma o tém myśléć. Dopóki szło o drobne niegodziwości, o dokuczenie lub zaszkodzenie bliźniemu; była całkiem w swoim żywiole, ale wielkie zbrodnie przerażały ją tak samo jak ogół śmiertelników. Z jednéj więc strony nie dowierzała téj wiadomości, zdawała jéj się nieprawdopodobną. Z drugiéj jednak, Shad zdawał się pewny tego co mówi, a wiedziała że jest bystry i rozgarnięty.

— Jestem nawet pewnym że morderstwo jest głównym celem téj wyprawy, odezwał się znów Shad; słyszałem jak mówili: „O! zanim główny interes zostanie załatwiony, znajdziemy przecie parę minut czasu do odbicia szafy, i zabrania sreber.“ Powtórzyli to parę razy. Słuchając ich mówiłem sobie w myśli: O jakimże oni mówią interesie kiedy nie idzie im głównie o srebra? zapewne chcą za mordować lorda Dane.

— Kochany chłopiec! zawołała Tiffle dumna z trafności rozumowania swego wychowańca. Czy Lydney należy do tego? Shadzie?

— Z pewnością należy. Wymówili raz jego nazwisko: wtenczas jeden z nich odezwał się: Pst! i po tém już go tylko nazywali „L“, ale ja wiedziałem dobrze o kim mówią. To on doradził im tę wyprawę; słyszałem jak rozmawiali o tém z sobą. W końcu stanęło na tém: że kiedy L. zajmie się wykonaniem swego zamiaru, oni zabiorą srebra. Zdaje mi się że wypada przestrzedz lorda Dane. Ale, ale, mistress Tiffle, muszę jeszcze pokazać co jeden z nich zgubił odchodząc..

(d. c. n.)

Opis do N-ru 7.

(Dokończenie).

N. 23—24. Dwie sukienki dla rocznych dzieci. Krój podług ryc. 24 i 25 w N. 40 Tyg. Mód z r. przeszłego.

N. 23. Sukienka z plastronem. Sukienka wełniana w kratkę białą i niebieską, miała z przodu plastron z gładkiêgo wełnianego materyału; dół oszyty był plisowaniem w kratkę, 5 cent. szerokiem, nad którem skos 6 cent. szeroki z niebieskiego materyału, w odstępie 4—5 cent. przepinany był w małe bufki, patkami wyszytemi ściegiem krzyżowym, jedwabiem białym i przypiętemi białemi szmuklerskiemi guziczkami. Takież same bufki przepięte mniejszemi patkami, dane są przy plastronie i wykroju stanika.

N. 24. Sukienka z pleecami sznurowanemi.

Tylko naszycie sznurem naśladuje sznurowanie gdyż zapięcie na guziki urządzone jest przez całą długość przodów. Od dołu plecy dopełniene są brycikiem fałdowanym, 26 cent. długim a 80 szerokim. Garnirunek stanowi wązkie plisowanie i pliski kaszmirowe 3 — 4 cent. szerokie, na których w środku naszyta jest pliska z materyi 1 cent. szeroka. Kieszonki ubrane także sznurami z kwastami. Guziczki wypukłe srebrne.

N. 26—30 i ryc. 37 — 38 w N. 8. **Dwa** wachlarze.

N. 26 i ryc. 37—38. **Wachlarz** ozdobiony haftem krzyżowym. Przy pięknej oprawie z kości słoniowej, dobrze odbija haft krzyżowy, naprzemian niebieski i różowy, odrobiony pelą na tle czarnem atłasowem.

N. 27 — 30. Wachlarz haftowany na krepie lub gazie jedwabnej. Dowolnie dobrany szlak ciągły albo szlaczek i rzucik podług ryc. 28—20, haftuje się pelą czarną i nitką złotą na czarnej krepie lub gazie. Brzeg górny można oszyć koronką albo obłożeniem z piór.

N. 31 i 42—45. Długa mitenka siatkowa. Materyał: jedwab' kordonkowy nie zbyt kręcony, czarny i różowy lub niebieski. Drut stalowy odpowiedniej grubości do próbki ryc. 44, wałeczek mający 2 cent. obwodu i cienka igliczka stalowa. W roku 1877 podaliśmy model mitenki siatkowej, od której obecna różni się tylko długością, lecz sposób roboty pozostaje ten sam. Najpierw trzeba zrobić całą mitenkę, podług próbki tła ryc. 42, a następnie ozdobić ją falbankowemi szlaczkami, przyrabianemi na wierzchu w równych odstępach, jedwabiem czarnym i kolorowym, podług próbek ryc. 43 do 45. Między szlaczkami na tle rękawiczki cerowane są wązkie deseniki jedwabiem kolorowym. Robotę zaczyna się od środka (od zgięcia ręki) na o. 45 na wałeczku, obrabia się dalej ku łokciowi razy 17 na drucie stalowym, dalej następuje pasek szlaczku widocznego na rycinie 45, którego roboty uczy próbka ryc. 44. W pierwszem obrobieniu przed każdem oczkiem trzeba najpierw nitkę roboczą przeciągnąć koło węzła przedostatniego rzędu, a następnie dopiero zrobić o. w najbliższe rzędu ostatniego. W drugiem obrobieniu wiąże się zawsze przewleczoną nitkę razem z najbliższem o., w sposób wskazany strzałką na próbce. Po szlaczku obrabia się trzy razy gładko, biorąc w środkowem z nich zawsze 2 o. w każde poprzedzającego rzędu, w trzecim rzędzie wiąże się o. w małe przybrane a do większych pozostawionych luźno przyrabia się następnie szlaczek podług próbki ryc. 45. Jeszcze 3 razy powtarza się cały pas od początku w ostatniem w miejsce 17, dając 24 obrobień, po których zaraz następuje cały szlaczek rycina 45. Następnie w drugą stronę od zaczęcia robi się drugą część mitenki wraz z palcem, do której szlaczek przedstawia ryc. 43. W rząd zaczęcia przy zgięciu ręki przewłóczy się elastykę albo wstążeczkę zawiązaną z wierzchu na kokardę.

N. 32. Czapeczka dla panów. Haft krzyżykowy.

Okrągłe denko czapeczki sukiennej podszytej materyą jedwabną, ma 16 cent. średnicy, obłożenie składa się z sześciu kwaterek $8\frac{1}{2}$ cent. wysokich, u dołu 12, w górze $9\frac{1}{2}$ cent. szerokich, zeszytych ze sobą. Deseń w rodzaju wskazanym na ryc. 32, odrabia się kordonkiem w dwóch cieniach tego co tło koloru, ściegiem krzyżowym.

N. 33—34. Szlaki do haftu na portjerach, meblach, poduszkach i t. p. Deseń do ryc. 33 na arkuszu z krojami do N-ru 5 i 6. Fig. 29.

Rycina 33 przedstawia w zmniejszeniu całość szlaku, którego część w naturalnej wielkości zamieszczona była na Fig. 29. Model wzięty był z portjery niebieskiej pluszowej, na której deseń był najpierw wycięty a następnie haftowany grubą filozelą w różnych kolorach odpowiednio do tła dobranych. Kontury obwodzi się długim ściegiem sznureczkowym, a tło zapełnia ściegiem ryżowym. Na tle granatowem sukiennem liście, gałązki i wąsy robić cieniem oliwkowym, mniejsze kwiaty żółto orzechowym, oraz większe pączki niebieskim, a podłużne cieniem różowym. Wązki szlaczek który stosownie do potrzebnej szerokości może być z jednej lub dwóch stron dodany, albo zupełnie odrzucony, robić cieniem orzechowym, filozelą na pół rozdzieraną.

N. 35 — 36. Woreczek do roboty ozdobiony denkiem szydełkowem wyszytem kolorowo.

Dno woreczka stanowi kwadrat szydełkowy, robiony z szarych nici kordonkowych i wyszyty krzyżykami, jedwabiem kordonkowym w dwóch cieniach niebieskich; robotę zaczyna się od środka ściegiem gwiazdzistym i przybiera w każdym rzędzie stopniowo, aż do 260 ó. obwodu, od których zaczyna się dalej formować kwadrat. Próbkę ściegu w gwiazdy podaliśmy na ryc. 56 w N. 47 z roku 1878; takąż próbkę w połączeniu ze szlakiem gładkim i deseniem wyszycia, damy w N. 8 na ryc. 17. Narożniki ażurowe i sposób formowania kwadratu widoczne na ryc. 36. Kwadrat oszyty koronką „torchon" przyczepia się na woreczku niebieskim zeszytym z kawałka materyi jedwabnej, mającego 40 cent. szerokości a 48 długości. Pomiędzy woreczek a okrągły środek kwadratu, podłożyć okrągłe denko ze sztywnej tektury. Do ściągania woreczka służy wązka wstążka, a do przenoszenia uszy z jedwabnego sznura z kwastami.

N. 37—40. Chusteczka oszyta koronką do noszenia na szubce albo paletocie.

Przy trójkątnej chusteczce z batystu, z indyjskiego albo zwyczajnego cienkiego muślinu, strony proste mają 58 a brzeg górny skośny, 98 cent. długości. Róg śpiczasty trzeba cokolwiek zaokrąglić, a następnie oszyć chusteczkę w koło koronką bretońską 5 cent. szeroką, trochę przyfałdowaną, której szew po wywinięciu w górze przy szyi powinien iść do spodu. Z tyłu w środku u góry i przy końcach, zaszywa się wskazane na ryc. 37 fałdki, po włożeniu końce przerzucić w sposób na ryc. 40 wskazany.

N. 41. Strojne ubranie ze stanikiem z długą baskiną.

Blado niebieska muślinowa suknia, miała spódnicę ogarnirowaną dwoma wązkiemi plisowanemi falbankami, a tunikę i stanik ozdobione białą wstawką i koronką. Przy staniku z bardzo długą baskiną w kontrafałdę ułożony plastron był z niebieskiej materyi, zapięcie na guziczki urządzone niewidzialnie z boku pod plastronem.

N. 46—47. Krótki kostjum z tuniką „a panier."

Rycina 46 wskazuje w jaki sposób użyć dwa odmienne materyały. Na spódnicy w koło fałdowanej, dodana bufiasto podpięta tunika zwana „a panier," złożona z trzech prostych 70 cent. długich brytów w górze przyfałdowanych i w wązki pasek wszytych, u dołu pod kokardą ze wstążki zebranych i do spódnicy przyczepionych. W górze w brytach przednich daje się zaszewki dopasowane podług figury. Stanik z przodu z bawetem, z tyłu z frakową baskiną, jest z boku zapinany. Na częściach kamizelkowych znacznie z pod stanika wysuniętych, naszyte są kieszenie zakończone w górze klapkami. Kołnierz szeroki wykładany.



N. 1—3. Suknia princesse z przypinanym trenem. Patrz rycina 13. Krój na arkuszu Nr. IX Fig. 28.

Opis do N. 8.

N. 1—5. Koronka genueńska, do obrusów kościelnych, komży i t. p.

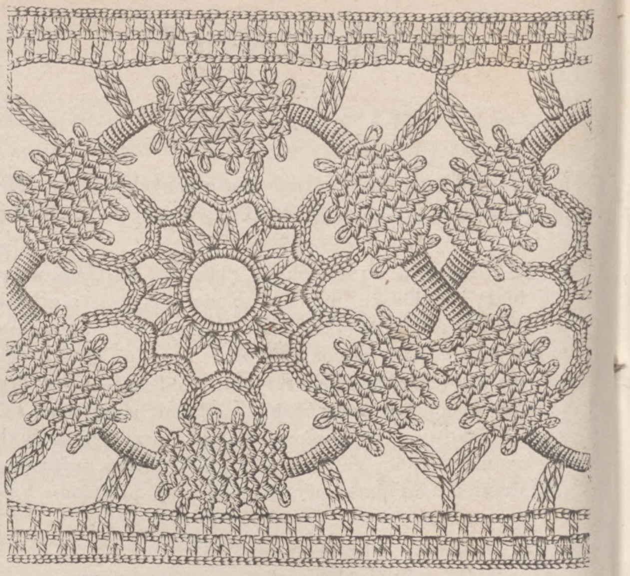
Materyał: niciana płaska tasiemeczka; sznurek okrągły; bawełna do haftu Nr. 1 i nici koronkowe Nr. 60 (na ko-



N. 8. Wszywka szydełkowa do ryc. 4.



N. 5. Koronka wywodzona na tiulu do ryc. 4.



N. 9. Wszywka z tasiemeczki medaljonowej spajanej szydełkiem.

łeczka) i Nr. 120; wałeczek drewniany cieńszy i grubszy.

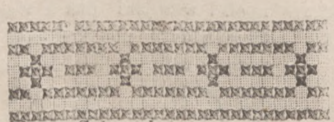
Rycina 1 przedstawia piękne i wierne naśladowanie kosztownej genueńskiej koronki; deseń rysuje się na cieniutkiej ceracie i wyszywa podług konturów płaską tasiemeczką; w miejscach gdzie tasiemeczka schodzi się z sobą lub jest założona potrzeba zeszyć ją niewidocznemi ściegami; puste środki w liściach zapełniają się kratką koronkową. Wypukłe kółeczka odznaczające się na wzorze, robią się oddzielnie i następnie przyszywają w odpowiednich miejscach; na mniejsze kółeczka potrzeba na cieńszym wałeczku owinąć nitkę 30 do 40 razy, podług ryc. 2 a następnie ściśle odziergać podług ryc. 3. Na zakończenie kielichów dawane są kółeczka obrobione ząbkami, których wykonanie dostatecznie objaśnia ryc. 4 i 5. Okrągły sznureczek przyszyty okrętką drobno zajmowanemi ściegami otacza brzegi kielichów i liści.



N. 4. Serwetka podłużna, ozdobiona wszywką, koronką i wyszyciem krzyżykowem. Patrz ryc. 6—7.



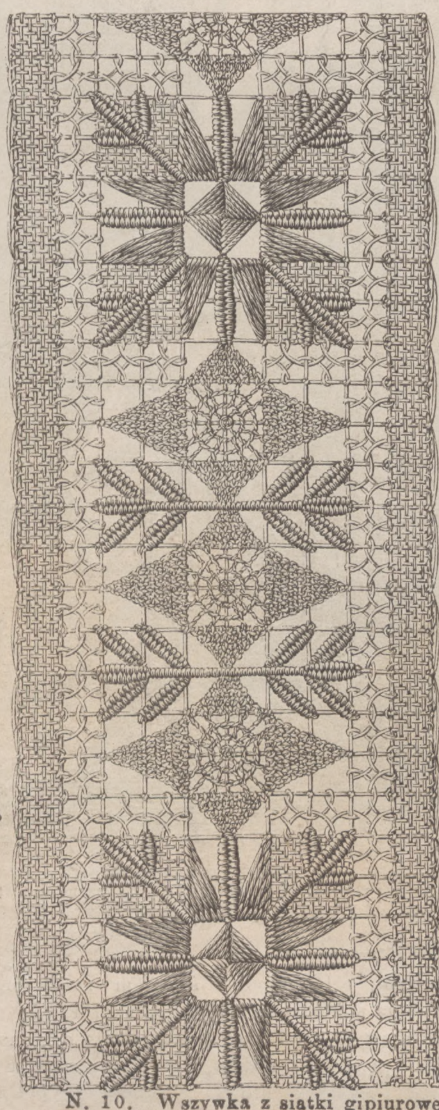
N. 11. Sukienka dla panienki lat 10—12. Krój na arkuszu Nr. III, Fig. 13—20.



N. 6. Szlaczek wyszyty krzyżykami do ryc. 4.

N. 6. Przykrycie na lampę.

Model odpowiedni na bardzo wielką lampę składa się z pięciu kwaterek z cienkiej tekturki, oklejonych glansowanym papierem białym, (po 29 c. długich, 5½ u góry, 12 cent. u dołu szerokich) w których wycięte są owalne medaljony. W wycięcia te wklejane są następnie sposobem trasparentowym, bukieta z zasuszanych kwiatów, naklejanych na papierze przezroczystym (kalce). Gładkie kwaterki łączą się kwaterkami faldowanemi, z glansowanego białego lub kolorowego papieru, załamanego w fałdki 1 cent. głębokie; w każdej fałdzie przecięta maleńka dziureczka, przez którą przewłóczy się wstążeczka związana w środku na kokardę.



N. 10. Wszywka z siatki gipiurowej.



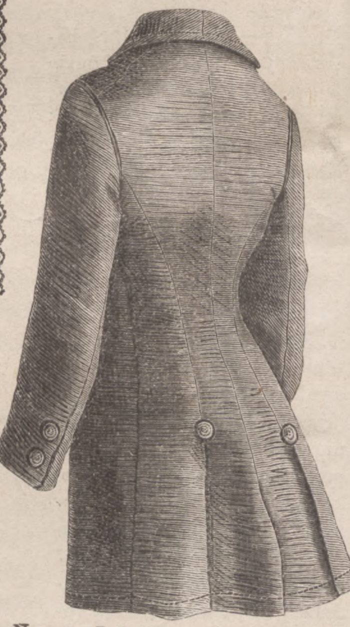
N. 13. Tren do przypięcia do sukni princesse ryc. 1—3.

N. 7—8. Pasek i wachlarz.

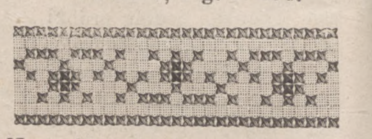
Pasek czarny skórzany spięty metalową kwadratową klamerką — wachlarz czarny atłasowy w oprawie z czarnego rzeźbionego drzewa; przy górnym brzegu wachlarza dany złocony szlaczek ½ cent. szeroki przy którym w odstępach przyczepione są maleńkie grelotki z czeskiego szkła, oprawnego ażurowo.

N. 11. Kasetka na kosztowności lub do robót.

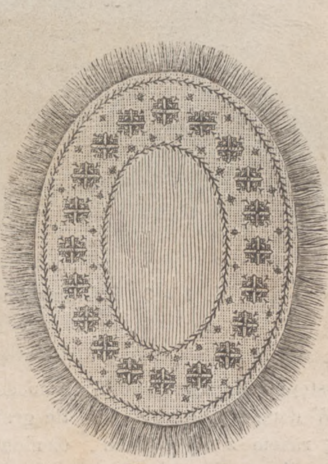
Drewniana szkatułka którą obstalowywa się u stolarza, ma formę kuferka 16 c. długiego, 9 szerokiego a 7 wysokiego, w środku jest wyklejona bronzowym, z wierzchu ponsowym atłasem. Przyozdobienie kasetki stanowi haft krzyżykowy jedwabiem kolorowym, na który desenie wybrać można między szlaczkami podawanemi w Tygodniku. Ażeby robota była równą i prostą trzeba przyfastrygować na atłasie cienką kanwę, którą wyciąga się po skończeniu wyszycia; najlepiej odrobić haft na kawałku atłasu dopasowanym do wielkości wieczka i na pasku odpowiednim do bocznych ścianek kasetki i następnie dać do oklejenia. W miejscach gdzie są zawiaski dodane są na wierzchu patki po 9 cent. długie, ozdobione wyszyciem. Nóżki maleńkie bronzowe.



N. 12. Półwcinany paletot dla młodej panienki. Krój i opis na arkuszu Nr. I, Fig. 1—5a.



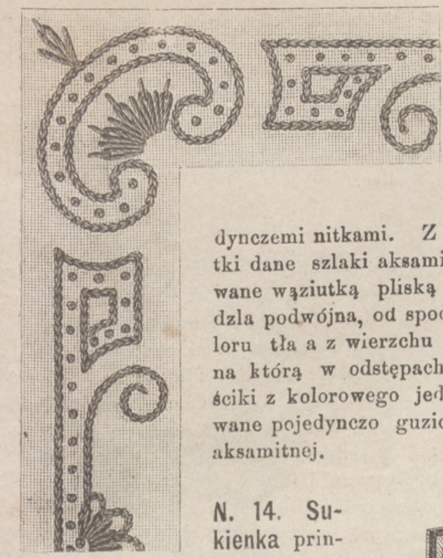
N. 7. Szlaczek wyszyty krzyżykami.



N. 14. Serwetka owalna ozdobiona wyszyciem krzyżykowem.

N. 12—13. Serwetka wyszyta półkrzyżykami.

Na tło używa się kolorowa materya, do wyszycia zaś filozela kolorowa; rycina 13 podaje więcej niż czwartą część desenia



N. 16. Szlaczek do ryc. 21.

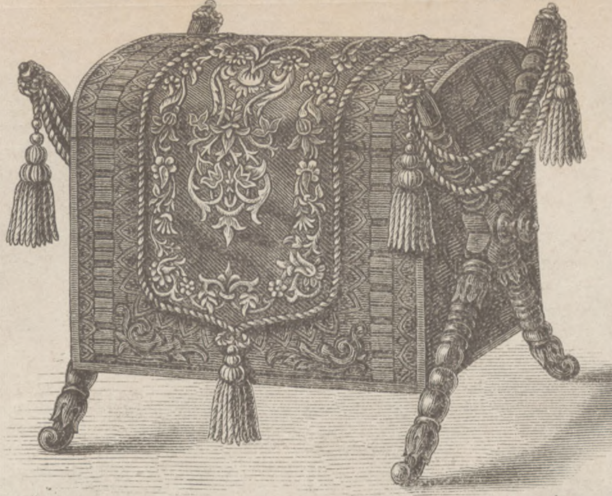
z wypisaniem kolorów; wyszywając deseń trzeba podłożyć kanwę, którą później wyciąga się pojedynczemi nitkami. Z brzegów serwetki dane szlaki aksamitne przystębnowane wąziutką pliską atłasową i frendzla podwójna, od spodu jedwabna koloru tła a z wierzchu złota kręcona, na którą w odstępach spadają kwaściki z kolorowego jedwabiu, przyszywane pojedynczo guziczkami na plisie aksamitnej.

N. 14. Sukienka princesse z przybraniem odznaczającem kaftanik.

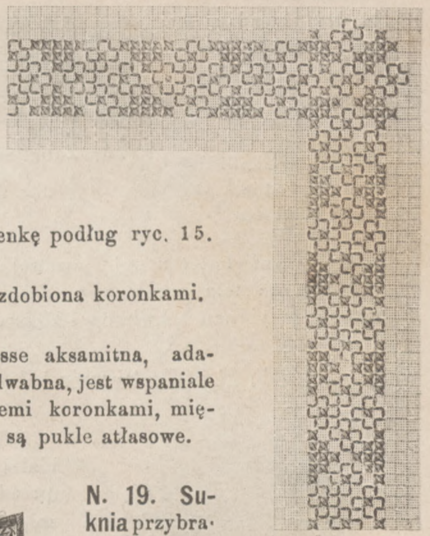
Uszyta z materyału wełnianego bronzowego koloru, krajana jest na długość kaftanika, dopełnionego następnie oddzielną częścią spódniczkową, przyszytą gładko do przodów, a fałdowaną z tyłu. Przybranie sukienki stanowi wąziutka wełniana pletnia, naszyta kilkoma rzędami i falbanka plisowana idąca brzegiem kaftanika; guziczki złote okrągłe i kokardy z wstążki atłasowej.

N. 15. Sukienka princesse z szarfą.

Sukienka z wełnianego materyału piaskowego koloru, przybrana repsem jedwabnym; na szarfę potrzeba kawałka 17 cent. szerokiego, złożonego podwójnie. Końce szarfy przyczepione są pod kieszonkami 13 c. szerokiemi, 11 długiemi. Pliski repsowe 2 i 3 c. szerokie i falbanki plisowane 7 i 3 cent. szerokie, zdobią sukienkę podług ryc. 15.



N. 15. Szkatułka ozdobnie rzeźbiona, z przykryciem z haftem renaissance; część haftu patrz ryc. 22 w N-rze 11, deseń na arkuszu Fig. 29.



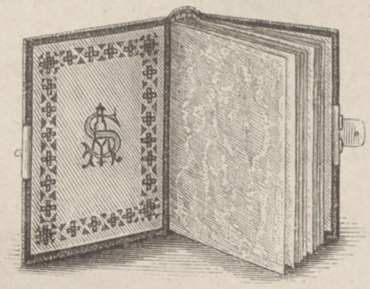
N. 19. Szlak do ryc. 17.

N. 18. Suknia ozdobiona koronkami.

Suknia princesse aksamitna, adamaszkowa lub jedwabna, jest wspaniale przybrana czarnemi koronkami, między które dodane są pukle atłasowe.

N. 19. Suknia przybrana frendzlą.

Niezmiernie strojne ubranie wieczorowe wykończone z białej faille, atłasu i gazy w srebrne pasy. Skośnie ścięta gaza stanowi 13 cent. szeroką bufę przyszytą u dołu sukni, zakończonej riuszą z faille 7 cent. szeroką, obrąbioną na prawą stronę, krytym ściegiem; górny brzeg bufy zachodzi pod riuszę atłasową 10 cent. szeroką. Na tylnym brycie sukni zarzucona jest gaza przepinana atłasowemi puklami i kokardami. Przód sukni zdobi frendzla 10 cent. szeroka kręcona z nitek jedwabnych, karbowanej plecioneczki i srebrnych nitek, naszyta środkiem przodu coraz szerzej do dołu; jeden rząd frendzli dany brzegiem przedniego bryta, zachodzi do boków i niknie pod bukietami kwiatów. Takiż bu-



N. 17. Haft na książkę do nabożeństwa. Patrz ryc. 19.



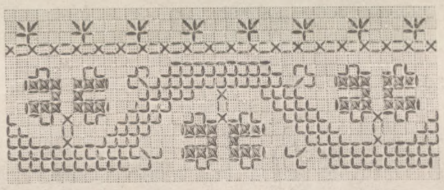
N. 20. Przykrycie na imbryczek z kawą zapobiegające od stygnięcia. Patrz ryc. 20 w N-rze 11.



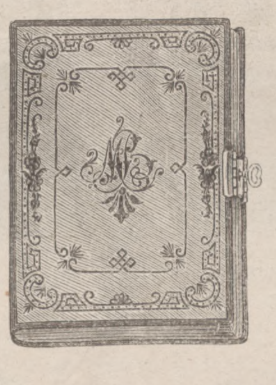
N. 18. Oprawa aksamitna haftowana na książkę do nabożeństwa.



N. 22. Krzesło ozdobione przykryciem z haftem włoskim.



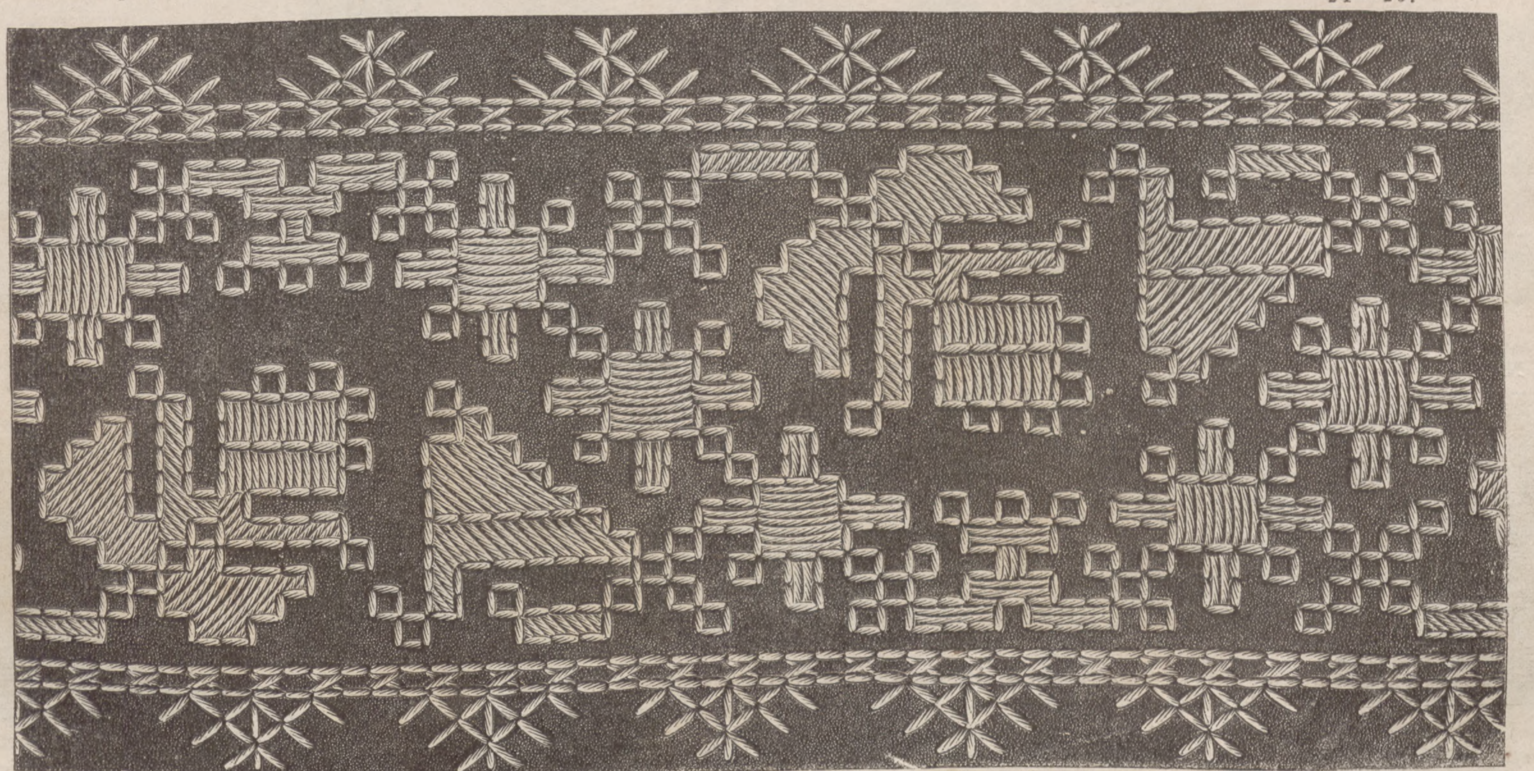
N. 24. Szlaczek do ryc. 23.



N. 21. Książka do notatek gospodarskich w oprawie ozdobionej haftem. Patrz ryc. 16 i Fig. 67—68.



N. 23. Krzesło ozdobione haftem włoskim. Patrz rycina 24—25.



N. 25. Szlak szeroki do krzesła ryc. 23. Haft włoski.

kiet na środku bryta nad frendzlą i przy staniku. Garnitur i dyadem brylantowy.



N 26. Ząbki szydełkowe z mignardise.



N. 20 Koszulka dla małego dziecka, Krój i opis na ark. N. VI Fig. 24--25.

N. 31. Koszulka dla dziecka. Krój i opis na ark. N. VII Fig. 26.

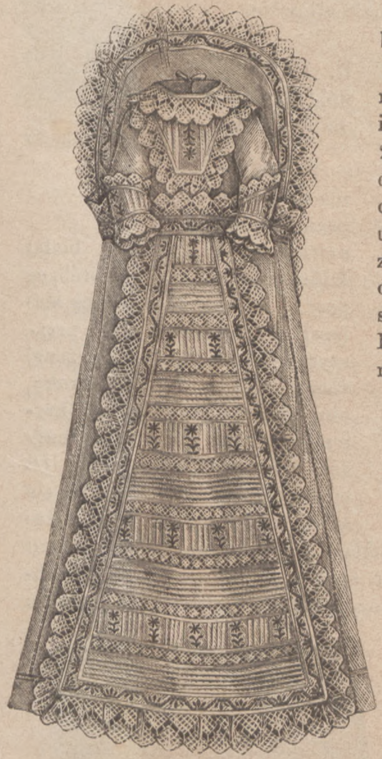


N. 27. Ząbki szydełkowe z mignardise.

N. 20. Suknia z wyciętym stanikiem i bawetem.

Do sukni tarletanowej, gazowej lub tiulowej, stanik z bawetem zrobiony z atłasu tego samego koloru; przybranie z kwiatów i kokard.

N. 21 i 27. Ubranie balowe.



N. 34. Poduszka i kaftaniczek dla dziecka noszonego na ręku. Krój i opis na ark. Nr. XIV Fig. 54—56.

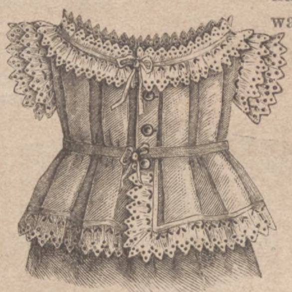
Suknia z białej faille przedstawiona z przodu i z tyłu na r. 21 i 27 ma draperyę zręcznie i lekko upiętą z illuzyi i gazy jedwabnej w srebrne pasy. Dolny garnirunek składa się z szerokiej bufy, przepinanej w równych odstępach illuzyowemi rozetami, brzegiem której u dołu i u góry dane wachlarzowo fałdowane plisowanie oszyte wstążką serge. Upięcie na tylnym bry-



N. 23. Kaftaniczek robiony na drutach.



N. 35. Napierśnik z wyszyciem krzyżykowem. Krój na ark. Nr. XV, Fig. 57.



N. 32, Koszulka dla maleńkiego dziecka. Krój i opis na ark. N, V, Fig. 23.

N. 37. Staniczek do ryc. 36.



N. 28. Ząbki szydełkowe.

cie sukni zakończone z boku puklami ze wstążki 4 cent. szerokiej i przepięte skośnie girlandą z róż; przód sukni fałdowany poprzecznie również ozdobiony różami. Stanik z przodu ścięty bawetowo, zakończony pukielkami stopniowej długości, ze wstążki serge 2 cent. szerokiej, z tyłu ma baskinę frakową, przeciętą w zęby i oryginalnie przepiętą wstążką, podług ryc. 27. Wykrój stanika ozdobiony bertą.

N. 22. Ubranie wieczorowe.

Materyał na tę suknię stanowi faille koloru caroubier w dwóch cieniach i materya crême; na wspaniały garnirunek użyta koronka wywodzona na tiulu (dentelle bretonne). Ubranie to jest w rodzaju Pompadour. Z materyi crême jest kamizelkowa część stanika, fałdowanie przy rękawach i przedni bryt sukni. Ciemniejsza faille (caroubier) wzięta na dalsze bryty sukni i wykłady przy rękawach, z jaśniejszej zaś uszyty stanik i dane przybranie na ciemnych brytach sukni, tworzących rodzaj dworskiego trenu.

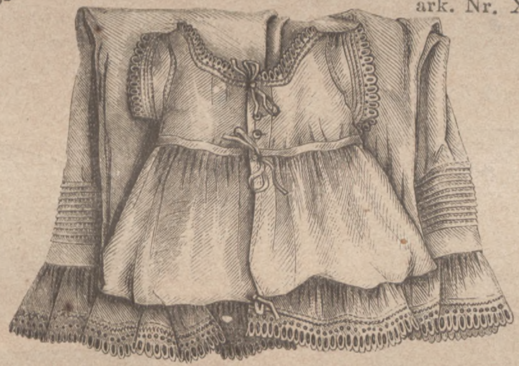


Garnirunek koronkowy u dołu przedniego bryta jest 25 cent. długi, przepinany kokardami; wachlarzowo fałdowana koronka otacza przód z boków i u dołu. Stanik z przodu ścięty w potrójny bawet, ma z tyłu frakową baskinę; chusteczka koronkowa spięta różami, rękawy oszyte podwójną koronkową falbaną. We włosach róże.

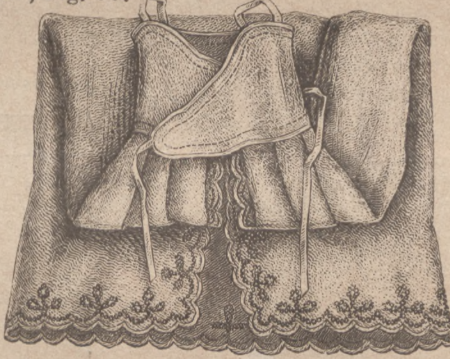
(dok. nast).



N. 29. Ząbki szydełkowe.



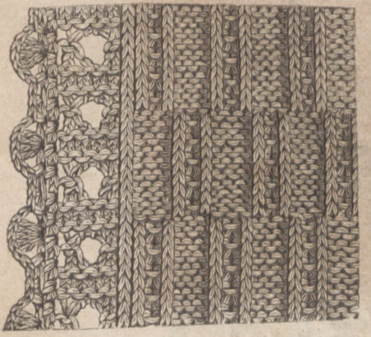
N. 38. Długa spódniczka ze stanikiem. Krój i opis na arkuszu Nr. XVI Fig. 58—59.



N. 39. Długa spódniczka flanelowa. Krój i opis na arkuszu Nr. XVII, Fig. 60.



N. 40. Bucik dla dziecka. Krój na ark. N. XVIII, F. 61—63.



N. 42. Tło i szlak do powijaka ryc. 41.

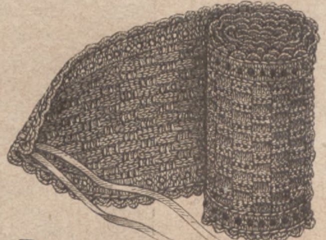


N. 43. Sukieneczka haftowana dla dziewczynki lat 3 — 5. Patrz ryc. 44.

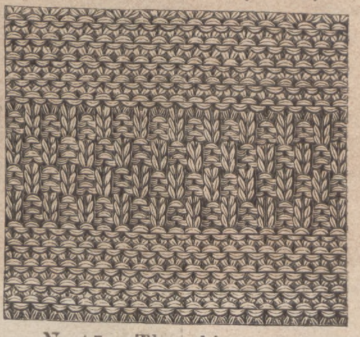
N. 45. Sukieneczka dla dziecka lat 1—3. Robota szydełkowa. Krój na arkuszu Nr. IV, Fig. 21—22 Patrz ryc. 46.

N. 44. Sukieneczka haftowana. Plecy do ryc. 43. Krój na ark. Nr. XII, Fig. 45—48.

N. 46. Sukieneczka szydełkowa. Plecy do ryc. 45.



N. 41. Powijak robiony na drutach. Patrz ryc. 42.



N. 47. Tło robione na drutach do kaftaniczka ryc. 33.

TYGODNIK MÓD.

w Warszawie 1879 r.

Dodatek z krojami i deseniami do N. 9 i 10

N. I. Półwcinany paltocik dla młodej panienki. Rycina 12 w N. 9 i ryc. 8 w N-rze 10.

Fig. 1. Przód (A, B, C, D, I, K, :) 1 założenie formy. 〰〰

Fig. 2. Boczek (C, D, E, F, G, H, × 1). ▬ • ▬ •

Fig. 3. Połowa pleców (E, F, G, H, I, K, *, · 1) 1 założenie. — • —

Fig. 4. Rękaw (A, L, M, N)

Fig. 5. Połowa wykładanego kołnierza (*, :). — × — × —

Fig. 1a — 5a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 1 — 5.

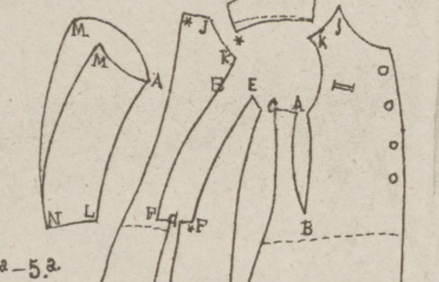


Fig. 1a–5a.

Paltocik taki można uszyć z aksamitu, z kaszmiru indyjskiego, materyi lub t. p. materyału, na podszewce; forma podana przez nas odpowiednia na osobę szczupłą. Linje stębnówki i piękne guziki stanowią przyozdobienie; na kieszonkę daną na piersiach trzeba podszyć od spodu odpowiedni kawałek materyału.

N. II. Stanik pod szyję z baskiną (linja prosta odznacza wykrój kwadratowy) i ze szmizetką. Rycina 3 — 5 w N-rze 10. Miara objętości przez połowę: 43 w gorsie, 27 cent. w pasie.

Fig. 6. Przód stanika z baskiną (O, P. U, V, W). —— ——

Fig. 7. Boczek (O, P, Q, R). — * — * — * —

Fig. 8. Pierwsza część pleców (Q, R, S, T, V).

Fig. 9. Druga część pleców (S, T, U). ▬▬

Fig. 10. Półdługi rękaw (W, X, Y, Z).

Fig. 11. Przód szmizetki (*, :). • × • × • × •

Fig. 12. Połowa pleców (*, :).

N. III. Stanik z kamizelką do ubrania ryc. 11 w N-rze 9 i ryc. 46 w N-rze 10.

Fig. 13. Połowa kamizelki (a, g, h, *) 1 założenie formy. — • —

Fig. 14. Przód stanika (a, b, g, h, i, p, +, :) 1 założenie.

Fig. 15. Pierwsza część pleców (a, b, c, d, h, *). = o = o =

Fig. 16. Druga część pleców (c, d, e, f, g) 1 założenie.

Fig. 17. Rękaw (i, k, l, m, n, o).

Fig. 18. Połowa mankieta (n, o). ⊢⊣ ⊢⊣

Fig. 19. Połowa wykładanego kołnierza (e, p). —— • ——

Fig. 20. Kieszeń (+, :).

N. IV. Sukieneczka szydełkowa dla dziecka lat 1 — 3. Rycina 45 — 46 w N-rze 9 i ryc. 10 w N-rze 10.

Fig. 21. Połowa przodu (q, r, s, t).

Fig. 22. Połowa pleców (q, r, s, t). = × = × = ×

N. V. Koszulka dla małego dziecka. Rycina 32 w N-rze 9.

Fig. 23. Połowa koszulki (u, v, ·, +). — o — o —

Podług Fig. 23 kraje się przód i plecy koszulki wraz z wykładem, widocznym na ryc. 32 i zszywa się od *u* do *w*. Brzegi obrąbiają się wązko, ramiączka łączą się wszywką walansjenkową 1 cent. szeroką od punktu do krzyżyka; do oszycia użyta koroneczka 1 centymetr szeroka.

N. VI. Koszulka z epoletkami, dla małego dziecka. Ryc. 30 w N. 9.

Fig. 24. Połowa stanu (x, *, :). —— • —— •

Fig. 25. Połowa rękawka (x, y). * * * * *

Przody i plecy krają się w jednym ciągu podług Fig. 24 wraz z epoletkami na ramionach i zszywają się krytym szwem od gwiazdki do dwukropka, następnie marszczy się brzegi górne przodu i pleców na 17 cent. szerokości i potrójne przeszycie fałdek przykrywa wszywką haftowaną 2 cent. szeroką; takąż wszywką zakończone są rękawki zachodzące do *y* na siebie.

N. VII. Koszulka dla dziecka rocznego. Rycina 31 w N-rze 9.

Fig. 26. Połowa stanu (z, *, ; +).

Przód i plecy koszulki krają się w jednym ciągu na ramionach i zeszywają z boków od *z* do gwiazdki; wykrój szyi trochę przymarszczony wszyty w haftowaną wszywkę, nawleczony wązką wstążeczką.

N. VIII. Czepeczek negliżowy. Rycina 6 i 7 w N rze 10.

Fig. 27. Denko (*, :, +).

N. IX. Suknia princesse z przypinanym trenem. Rycina 1 — 3 i 13 w N-rze 9.

Fig. 28. Krój połowy princesse w maleńkim formacie: *a* przód i boczek, *b* 1-sza i 2-ga część pleców, *c* część dopełniająca suknię; *d* bryt stanowiący tylną draperyę, *e* pierwszy klin trenu, *f* drugi klin trenu, *g* połowa tylnego bryta trenu.

Desenie do ryc. 22, 26, 30 w N-rze 10 i ryc. 15 w N-rze 9.

Fig. 29. Połowa haftu (Renaissance) do ryc. 15.

Fig. 30. Koronka irlandzka do ryc. 26.

Fig. 31. Zakończenie do krawatki ryc. 30 w N-rze 10.

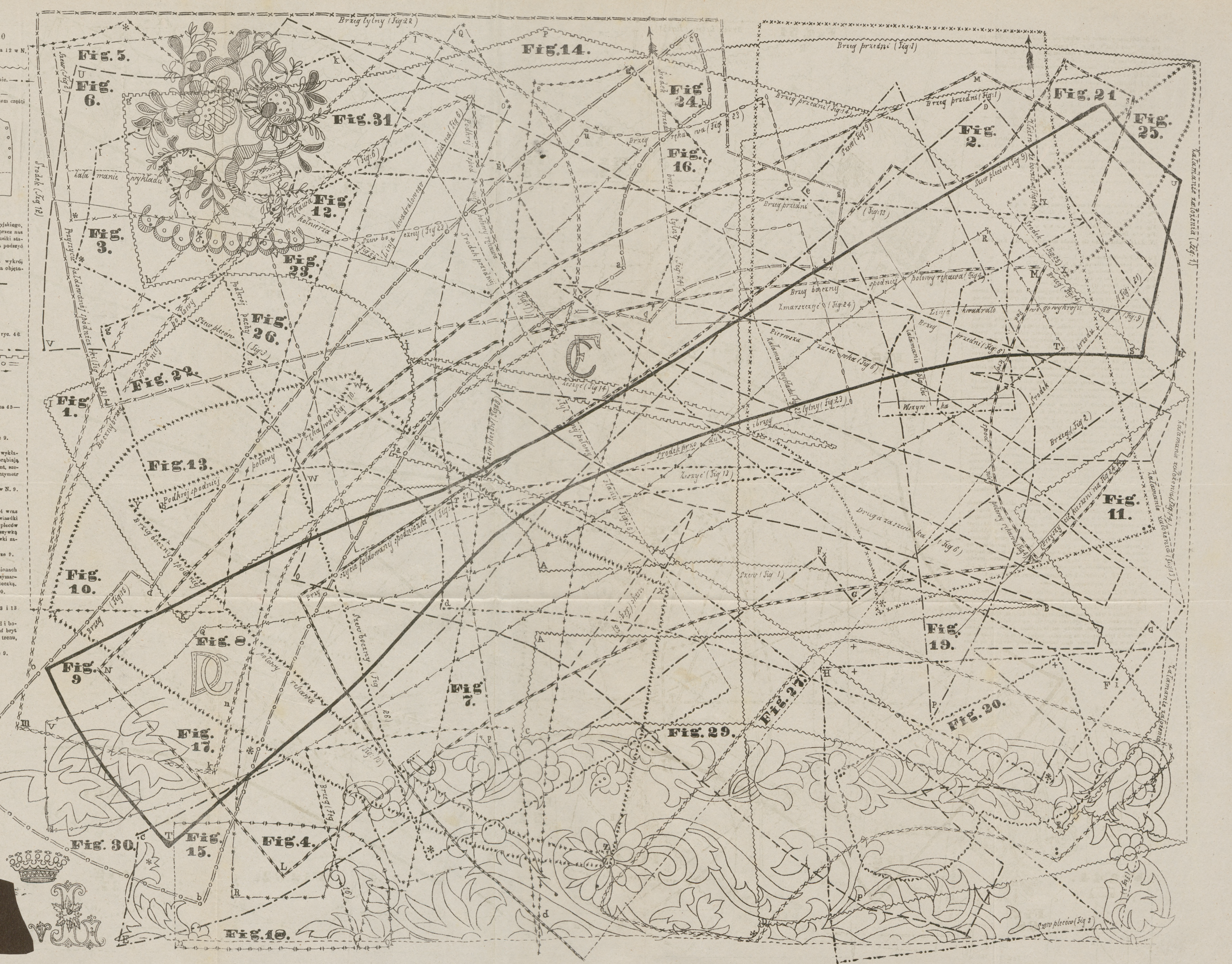




Fig. 28.

N. X. Okrycie wiosenne dla młodej panienki. Rycina 9 w N-rze 10.

Fig. 32. Przód A, B, C, D, E, G) 1 założenie.

Fig. 33. Połowa pleców wraz z rękawem (A, B, C, D, E, F) 1 załoź.

Fig. 34. Połowa kołnierzyka (F, G). ✻ — ✻ — ✻ —

Fig. 32a—34. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 32—34.

N. XI. Kamizelka, stanik i draperya do sukni. Rycina 12 — 17 i 43 — 44 w N-rze 10. Miara objętości przez połowę: 47 cent. w gorsie, 33 cent. w pasie.

Fig. 35. Przód kamizelki (H, I, K, L).

Fig. 36. Połowa pleców (H, I, K, L). × • × • × •

Fig. 37. Przód stanika (M, N, U, V, W, ·) 1 założenie.

Fig. 38. Pierwszy boczek (M, N, O, P).

Fig. 39. Drugi boczek (O, P, Q, R). = o = o

Fig. 40. Pierwsza część pleców (Q, R, S, T, V, · 1) 1 założenie. — o

Fig. 41. Druga część pleców (S, T, U, +, *, × 1 do · 4 i × 4) 1 zał.

Fig. 42. Rękaw (W, X, Y, Z).

Fig. 43. Połowa szalowego kołnierza (+, ·).

Fig. 35a—43a. Zmniejszony format zestawionych razem części kroju Fig. 32—36 i Fig. 37—43.

Fig. 44. Wskazanie kroju draperyi.

N. XII. Sukienka haftowana dla dzieci lat 3—5. Rycina 43—44 w N-rze 9.

Fig. 45. Połowa pierwszej części przodu (a).

Fig. 46. Druga część przodu (a, b, c, d).

Fig. 47. Plecy (b, c, d, · 5 i × 5 do · 8 i × 8).

Fig. 48. Połowa rękawka (b, d).

Fig. 48a. Deseń wyszycia.

N. XIII. Sukieneczka dla dziecka noszonego na ręku. Ryc. 36—37 w N-rze 9.

Fig. 49. Połowa przodu (e, f, :). — × — × —

Fig. 50. Boczek stanika (e, f, g, h, i). o o o o

Fig. 51. Plecki stanika (g, h, k, l). ✻ — ✻ —

Fig. 52. Ramiączko (e, i, k, l). ◡ ◠ ◡ ◠

Fig. 53. Bryt boczny (:) — o — o —

Fig. 49. dopełniona podług liczb wypisanych na długość i szerokość, podaje formę przodu, który jak to widać na ryc. 36 składa się z pasków wszywki 4 cent. szerokiej i z bufek 5 cent. szerokich, u dołu zaś dopełniony jest falbaną 25 cent. długą, 72 szeroką, ozdobioną wąziutkiemi zakładkami, oszytą u góry i u dołu koronką nicianą 3 cent. szeroką. Boki i plecy stanika mają krótką baskinę; boki krają się podług Fig. 50, przy każdej zaś połowie pleców dodać trzeba wzdłuż brzegu tylnego po 12 cent. szerokości na dwie kontrafałdy, widoczne na ryc. 37, po 3 cent. szerokie. Każdy kawałek składa się z dwóch marszczonych, zachodzących na siebie falbanek, z których spodnia liczy 28 cent. długości a 5 szerokości, zwierzchnia 30 cent. długości a 3 szerokości. Wykrój szyi otaczają dwie marszczone falbaneczki 1½ i 3 cent. szerokie, zwrócone do siebie i przystębnowane wąziutką pliseczką. Bryty boczne i prosty tylny bryt sukienki 99 cent. szeroki, zakończone są u dołu zakładkami i koroneczką; wzdłuż przedniego bryta z boków dana haftowana pliska i koronka.

N. XIV. Kaftaniczek i poduszka dla dziecka noszonego na ręku. Rycina 34 w N-rze 9.

Fig. 54. Połowa przodu (m, n, o, p, q, *).

Fig. 55. Połowa pleców (m, n, o, p).

Fig. 56. Rękaw (q, r, s, t).

Powłoczka na poduszkę szyje się z cienkiego szyrtyngu, zwierzchnie zaś przykrycie nakształt sukienki jest z batystu. Długość powłoczki w którą wsuwa się poduszka płasko wypchana wynosi 70 cent. szerokość dolna 44 a brzeg górny jest zaokrąglony; przy zszywaniu wierzchu ze spodem (brzeg dolny pozostawia się nie zszyty) dodają się dwie klapy boczne po 50 cent. długie, 22 szerokie, które wiążą się na bandaże pod przykryciem 55 cent. długiem, 44 szerokiem, w które wsuwa się kołderka; przyszywa się ono u dołu powłoczki, u góry przywiązuje na bandaże.

Zwierzchnie przykrycie nakształt sukienki, składa się z trzech części; środkowy pięknie przyozdobiony brycik liczy 88 cent. długości, 12 cent. szerokości w górze, 58 u dołu, każdy z klinów bocznych jest z prostego brzegu 80 cent. długi, w górze 16 u dołu 34 cent. szeroki. Przybranie przodu wskazuje ryc. 34; może być z zakładek, plisek i wstawek lub z bufek i wstawek stosownie do gustu. Skończone przykrycie ma dodane u góry długie bandaże i przywiązuje się mocno do poduszki. Krój maleńkiego kaftaniczka z białego batystu daliśmy pod Fig. 54 — 56; po drobniutkiem zmarszczeniu przodu, przyczepia się napierśnik, w miejscu oznaczonem linją prostą na Fig. 54.

N. XV. Napierśnik dla dziecka. Rycina 35 w N-rze 9.

Fig. 57. Połowa napierśnika.

N. XVI. Staniczek do długiej spódniczki ryc. 38 w N-rze 9.

Fig. 58. Połowa stanika (u, v, w). — × — ×

Fig. 59. Połowa rękawka (u, +). + + + +

Prosta z tyłu otwarta spódniczka liczy 80 cent. długości a 150 cent. szerokości; dolne przybranie stanowią wąskie zakładki i falbanka marszczona 7 cent. szeroka oszyta ząbkami 4 cent. szerokiemi. Staniczek z tyłu zapięty na guziczki, zszywa się ze spódniczką zmarszczoną w górze; na szwie dana listewka w którą nawłóczy się taśma do wiązania.

